

VANJA OLIMPIA Z.



**DUSZA W OGNIU
ZAUROCZENIE**

NOVAE RES

VANJA OLIMPIA Z.

DUSZA W OGNIU
ZAUROCZENIE



NOVAE RES

Nie cierpię wczesnego wstawania. Nie cierpię, gdy dźwięk budzika w telefonie wyrzywa mnie ze snu i przypomina, że muszę zwlec dupę z wyra i zrobić to, co zaplanowałam. Właśnie teraz, zaraz, nie za godzinę czy dwie.

- Jeszcze minutkę... - mamrotałam, włączając funkcję drzemki.

Cwana ze mnie bestia. Nastawiam budzik o dziesięć minut wcześniej niż muszę wstać, a potem napawam się możliwością leżenia w łóżku z głową pod kołdrą i półprzytomnie oczekuję na następny sygnał budzika.

Na szczęście nigdy nie zawałam. Nie tak jak mój były, który potrafił zasnąć na umówione po południu spotkanie. „Bo mnie nie obudziłaś”.

- Dupek - mruknełam, skopując z siebie kołdrę. Telefon, leżący dotąd gdzieś przy moim boku, wylądował razem z nią na podłodze.

Z otwartego okna nad łóżkiem docierały te same co zwykle dźwięki: grająca dwa piętra niżej muzyka klasyczna (tym razem, o ile dobrze rozpoznałam, Mozart), szum drzew, świergot ptaków, i to, co uwielbiałam: kolejna kłótnia sąsiadów za ścianą. Aż dziwne, że tyle hałasu robili lokatorzy tak

drogiego apartamentowca.

Od roku, odkąd kupiłam swoje pierwsze, wymarzone mieszkanie, każdego dnia namiętnie słucham dobiegających zza ściany awantur. Czasem słychać było nawet dźwięk tłuczonego szkła: ciekawe, ile wydają na nowe zastawy, bo tłuką je w takim tempie, że ja na ich miejscu zainwestowałabym w plastikowe talerze używane do grilla. Przynajmniej sąsiad nie chodziłby potem z siniakami na czole.

- Jesteś żalną namiastką mężczyzny! - usłyszałam.

- Taa, jeszcze mu powiedz, że gdybyś polegała tylko na nim, w ogóle nie miałibyście dzieci - mruknęłam, idąc do łazienki.

Światło zakłuło mnie w oczy. Z ledwie uchylonymi powiekami siadłam na sedesie, z ulgą wypuszczając z siebie wypite przed snem piwo.

Budzik odezwał się znowu, przytłumiony przez leżącą na telefonie kołdrę.

- No kurwa, akurat teraz? Sikam! - krzyknęłam w stronę pokoju. Budzik darł się dalej.

- Sikaj, wyłączę. - Męski głos dobiegający z pokoju przestraszył mnie, dopóki go nie rozpoznałam. To Adam, sąsiad z naprzeciwka, jedyny posiadacz drugiego kompletu kluczy od mojego mieszkania. I niestety zadeklarowany gej, odporny na moje wdzięki. Co prawda całowaliśmy się raz czy dwa w nieudanych próbach zawrócenia go na „dobrą drogę”, ale nawet nie próbował mnie macać. Po prostu kobiety nie były w jego typie. Szkoda, bo naprawdę mi się podobał: wysoki blondyn z niebieskimi jak niemowlę oczami, z ustami, które

chciałoby się zjeść i ciałem młodego boga. Mniam.

Machnęłam ręką, domykając drzwi łazienki. Budzik ucichł.

- Kwiatek ci zdechł - zawołał z pokoju.

- Wiem. Będziesz miał mniej do podlewania. Zrobisz kawki? Idę pod prysznic.

- Zrobię.

Kwadrans później siedzieliśmy w kuchni, popijając gorącą kawę.

Adam, jak zawsze nienagannie ubrany i z fryzurą, która wyglądała jak prosto od fryzjera, obrzucił mnie karcącym wzrokiem.

- Przytyłaś - stwierdził na koniec.

- Dzięki - prychnęłam. - Przynajmniej cycki mam teraz większe. - Wypięłam dumnie klatę, uwieńczoną obecnie rozmiarem C.

- Na długo jedziesz? - Zmienił temat, w ogóle niezainteresowany moim biustem.

- Na jakiś miesiąc, jak zwykle. Rodzice wybierają się do Azji poznawać tamtejszą kulturę. To ich słowa. - Spojrzałam na Adama spod oka. - Pewnie znów przywiozą jakąś szkaradną pamiątkę i uprą się, że mam powiesić ją na ścianie.

- Jak tę afrykańską maskę, która doprowadzała cię do zawałów serca?

- A weź, była paskudna. Co z tego, że miała sprowadzać szczęście, jak nie można było na nią patrzeć?

- U mnie działa. - Adaś rozpromienił się jak słoneczko.

Rzeczona maska, prezent do nowego mieszkania, wisiała u mnie w korytarzu przez blisko osiem miesięcy. Wykrzywiona

gęba afrykańskiego bóstwa wkurwiała mnie każdego dnia, za to w nocy cieszyłam się, że do łazienki nie muszę przechodzić korytarzem. W nocy bałam się tego idiotycznego kawałka rzeźbionego drewna. Z ulgą podarowałam ją zachwyconemu paskudztwem Adamowi.

- Słuchaj, muszę się zbierać. - Zerknęłam na zegar na kuchence. - Ubrania spakowałam wczoraj, ale muszę jeszcze zatankować wóz i podskoczyć do banku po trochę kaski. Rodzice o piątej muszą być na lotnisku.

- Może wpadnę cię odwiedzić, jeśli dobre wiatry zagonią mnie na wieś. - Adam umył swój kubek po kawie i ruszył do wyjścia.

- Tak, jasne, ciebie zagania co najwyżej do galerii Sebastiana.

- Widziałaś, jaki on ma tyłek? - rzucił Adam jeszcze zza drzwi.

- Tobie tylko dupy w głowie! - krzyknęłam za nim.

Znałam Adama od ponad pięciu lat. Po raz pierwszy spotkaliśmy się na jakiejś imprezie, co prawda byłam jeszcze młoda i nieopierzona, ale pełna chęci, by „zaistnieć”. Jak prawdziwy rycerz zaopiekował się pijaną w sztok szesnastolatką i zabrał do domu, gdzie spała na kanapie z podstawioną pod twarz pustą miską.

Oczywiście jakiś rok później przeszłam etap kochania się w przystojnym jak sukinsyn geju, miałam nawet na tyle odwagi, żeby pokazać mu się nago, a nawet wleźć mu pod kołdrę, ale poza kilkoma niezbyt namiętnymi pocałunkami nie wskórałam nic. Namawiał mnie na anal, jednak w moim

mniemaniu tyłek to droga jednokierunkowa, więc nic z tego nie wyszło. Dwa lata temu śmieszne uczucie wypuściło mnie ze swoich łap i zostaliśmy przyjaciółmi. Właśnie dzięki Adamowi udało mi się kupić mieszkanie w jednej z droższych dzielnic miasta: to on pierwszy dowiedział się, że jego sąsiad wyjeżdża za granicę i chce sprzedać lokal po okazyjnej cenie. Dobry chłopak, od razu pomyślał o mnie.

- Bum! - Ubrana, z walizką przy boku, zamknęłam za sobą drzwi mieszkania. - Komu w drogę, temu...

- W dupę? - Adam wyjrzał mi zza pleców, dokańczając we własnym, niepowtarzalnym stylu.

- Obejdzie się bez takich. - Pacnęłam go w ramię.

- Daj. - Wyjął mi z ręki uchwyt walizki i poszedł w stronę windy.

- Przestań, ma kółka. - Dogoniłam go w połowie korytarza.

- To co? Pomogę, a ty w zamian podrzucisz mnie do sklepu. - Uśmiechnął się, błyskając śnieżnobiałymi zębami.

- Przecież to tuż za rogiem.

- Tak, ale masz pojęcie, jak chłopcy będą na mnie patrzeć, gdy wysiądę z twojego wehikułu? - mrugnął porozumiewawczo.

- Patrzyliby więcej, gdybym to ja wysiadła. O nie, nawet o tym nie myśl, nie zostawię Cukiereczka. - Pokręciłam głową.

„Cukiereczkiem” nazywałam swój samochód. Najbardziej przeze mnie ukochaną rzecz na świecie: chevroleta eldorado, rocznik 1959. Znalazłam go przypadkowo, na wycieczce z rodzicami. Stał na podwórku przed domem jakiegoś ciecica,

zardzewiały i bez kół i aż prosił, by go stamtąd zabrać. Tatko nie dał się długo namawiać: w miesiąc później wóz stał w warsztacie, gdzie znający się na swoim fachu mechanik przywrócił go do życia. Zdobył oryginalny, sprawny silnik i większość części, bajeranckie opony z białej gumy, nowe fotele. Odrestaurował nadwozie i nałożył starannie dobrany przeze mnie lakier, grafitowy, z lekkim, metalicznym połyskiem. Popłakałam się, siadając po raz pierwszy za kierownicą, a słodki zapach wiszącego pod lusterkiem wstecznym odświeżacza od razu skojarzył mi się z landrynkami. Chevy został Cukiereczkiem i nikt z mojej rodziny ani znajomych nie mówił o nim inaczej.

Adam wrzucił moją walizkę do bagażnika i wskoczył na siedzenie pasażera.

- Jaaadziem, paniuusiu! - zawołał, przeciągając słowa ze śmiesznym akcentem.

Wyjechałam z parkingu pod budynkiem, natychmiast zwracając na siebie uwagę przechodniów. Brzmienie silnika i piękno Cukiereczka nie mogło ująć niczyjej uwadze. A ja uwielbiałam, gdy ludzie oglądali się za moim pieszczoszkiem.

Skręciłam w pierwszą aleję i zatrzymałam się przed wejściem do sklepu ze zdrową żywnością. Modnego, odwiedzanego przez „chłopców” pokroju Adama. Coś podpowiadało mi, że nie tyle zaopatrują się tu w produkty na kolację, ile paradują przed sobą, szukając... Jak powiedziałyby Adaś „chuja w dupę”, choć raczej na dłużej niż jedną noc.

Adam zwlekał, gramoląc się na zewnątrz tak długo, dopóki nie zobaczył wlepionych w nas oczu gejowskiej części klienteli

sklepu. Gapili się zza szyby, jakby zobaczyli UFO.

- Trzymaj się, laska, i uważaj po drodze. - Ucałował mnie na pożegnanie w policzek.

- Spoko. Zadzwoń. - Cmoknęłam go w czoło. - Pomyślnych łowów - rzuciłam, odjeżdżając.

Na stacji benzynowej jak zwykle musiałam odpowiadać na durne pytania stojącego przy stanowisku obok kierowcy. Na pamięć znałam już większość parametrów Cukiereczka: ile pali, ile wyciąga, ile ma koni... Tym razem na szczęście podtatusiały facet był w towarzystwie poganiającej go kobiety, więc obyło się bez propozycji wspólnej przejażdżki.

Pogoda była wyśmienita do jazdy: ciepło, lekki wiaterek, droga prawie pusta. Nic, tylko gnać przed siebie. Jeszcze tylko mały przystanek przy bankomacie i byłam wolna.

Rodzice mieszkali w pięknym, okazałym domu nad brzegiem niewielkiego jeziora. Sam zbiornik, jak i kawał ziemi dokoła należał do mojej rodziny od czterech pokoleń. Cały teren mieścił się na uboczu, z dala od miasta i okolicznych wiosek, dzięki czemu zawsze mieliśmy spokój. Choć nie mieszkałam w rodzinnym domu od czterech lat, przez trzy pierwsze, kiedy wynajmowałam niewielki apartament w centrum, lubiłam spędzać w „dziczy” kilka tygodni w roku. Przyjeżdżałam do rodziców na święta i Nowy Rok, czasem bez okazji, tylko po to, by odpocząć. I co rok mieszkałam u nich przez pierwszy miesiąc lata, podczas gdy oni jeździli po świecie, szukając przygód.

Tym razem miało być trochę inaczej. Zanosilo się na to, że nie będę sama. Jakies trzy miesiace wczesniej ojciec zaprosil

pod swój dach jakiegoś faceta i zatrudnił go. Może słowo „zaprosił” jest trochę przesadzone: znalazł go na swoim terenie, głodnego i przemarzniętego, i zaopiekował się nieborakiem. A ten, jakby to było coś normalnego, zadomowił się na dobre.

Całą sprawę znałam tylko z rozmów przez telefon, więc nie umiałam zbyt wiele o niej powiedzieć. Z tego, co się dowiedziałam, obcy stał się kimś w rodzaju prawej ręki ojca, jeśli chodzi o opiekę nad domem i jeziorem. Jak widać na tyle zaufanym, by ojciec zostawił go ze mną na cały miesiąc. Nie bardzo mi się to podobało, ale ufałam opinii taty. Znał swojego gościa. Podobno facet był trochę dziwny, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Z tego, co mówił mi tatko przez telefon, jego podopieczny nie miał żadnego wykształcenia, był prostakiem. Coś tam jednak musiał pokazać, skoro mój ojczulek nie bał się dać facetowi dachu nad głową. Nie w samym domu, ale urządził mu mieszkanie w stojącym obok niego małym budynku, w którym za czasów mojego pradziadka mieszkała wynajęta służba.

O tak, byliśmy bogaci. Ja, mając dwadzieścia jeden lat, nie musiałam uczyć się ani pracować. Moim głównym zajęciem było „nicnierobienie”. Owszem, miałam jakieś tam zainteresowania, bo kto ich nie ma, ale ograniczały się one do ślęczenia przez pół nocy przed komputerem i spania do południa. Balowałam z przyjaciółmi w modnych lokalach, podrywałam i dawałam się poderwać. Jedyne, co było u mnie na plus, to niechęć do narkotyków.

Fakt, spróbowało się tego i owego z różnym efektem,

bywało, że budziłam się w obcym miejscu z potężnym moralniakiem na koncie, ale w sumie nie byłam aż tak zepsuta. Wyrosłam i zmądrzałam. Eksperymenty z używkami zarzuciłam jakieś trzy lata temu, pozostając tylko przy papierosach i... wódce.

Pałam mało, ledwie kilka sztuk w ciągu dnia. Lubiłam usiąść na balkonie, z drinkiem i butelką czekającą na stoliczku obok, i zapalić. Wieczorem, tuż przed snem, z papierosem w ustach obserwowałam miasto, rozmyślając nad sobą. Takie chwile wyczekiwanej samotności, podczas których mogłam cofnąć się myślami w przeszłość i przeanalizować na spokojnie to, co kiedyś zrobiłam lub przed czym się zawahałam.

W domu rodziców tych chwil będzie więcej. Tamtejszy spokój zawsze nastrajał mnie melancholijnie i zmuszał do większego niż zwykle wysiłku umysłowego. Chyba właśnie przez te kilka tygodni, spędzanych praktycznie bez niczyjego towarzystwa, nabierałam odrobinę więcej rozumu i dystansu do siebie. Dojrzywałam.

- Jeszcze sporo ci brakuje, laska - odezwałam się do siebie, naśladowując głos i sposób mówienia Adama.

Fakt, wciąż miałam w głowie same bzdury.

Zwolniłam, skręcając z głównej drogi na wąską dojazdówkę, wijącą się wśród drzew. Po kilku minutach przed maską Cukiereczka zamajaczyła jasna plama frontu domu. Zmieniłam bieg i docisnęłam pedał gazu, jak zawsze powiadamiając rykiem silnika o swoim przybyciu.

- Kochanie, jestem w domu - mruknęłam pod nosem.

Zatrzymałam Cukiereczka tuż za stojącym na podjeździe

samochodem ojca. On sam czekał już na mnie na schodach werandy, w nieodłącznym kapelusiku na głowie i z uśmiechem, za który niejedna moja koleżanka dałaby się pokroić. Większość z nich uważała, że mój tatko jest przystojnym panem w średnim wieku, ale ja nie potrafiłam spojrzeć na niego inaczej niż na rodzica. Nie potrafiłam znaleźć w nim tego, co widziały moje koleżanki.

Miał króciutko obcięte, szpakowate włosy, twarz o regularnych, mocnych rysach, szerokie brwi, szare, duże oczy, prosty nos i wiecznie uśmiechnięte usta. Prawie dwa metry wzrostu i szeroka kłata dopełniały całości. Kiedyś uprawiał kulturystykę, efekty widać było do dziś. Kawał chłopca.

Podbiegłam do niego i zatonąłam w potężnych, niedźwiedzych ramionach, prawie w nich znikając. Przy ojcu byłam malutka jak dziewczynka, ale cóż, wzrost odziedziczyłam po matce.

- Dobrze, że jesteś. - Ojciec postawił mnie na ziemi. - Za dwie godziny musimy jechać, a wiesz, że matka nie odpuści tradycyjnego wspólnego lunchu.

- Wiem. Specjalnie nie jadłam śniadania - skłamałam, nie chcąc przyznać się do tego, że odpuszczam poranny posiłek, na ogół lecząc kaca.

Wróciłam do wozu po walizkę, ale ojciec wyprzedził mnie i podniósł ją, jakby nie ważyła więcej niż pudełko po butach.

- Mama w kuchni? - spytałam, idąc za nim do swojego pokoju.

- Tak, dopieszcza sałatkę.

Zawróciłam w połowie schodów i pognałam na tył domu, podchodząc do drzwi kuchni na paluszkach. To było jak rytuał: stawałam w drzwiach i patrzyłam, jak mama uwija się w kuchni, udając, że mnie nie widzi.

Tym razem doprawiała sałatkę z kurczaka, mamrocąc coś do siebie w ojczystym języku.

Była typową Włoszką, głośną, mającą setki rzeczy naraz do powiedzenia, gorąckrwistą, choć z wyglądu przeciętną. Prawie. Z wiekiem nabrała nieco wewnętrznego blasku, co nadało jej twarzy majestatu. W ciemnych oczach odbijało się zadowolenie i mądrość, którą nabywa się wraz z przeżyтыми latami. Brązowe włosy, długie prawie do pasa, wiły się w grubych puklach, upięte po bokach głowy srebrnymi klamrami.

Miała równiutko metr siedemdziesiąt wzrostu, ja o centymetr czy dwa więcej. Po niej odziedziczyłam ciemną, nieco cygańską karnację i brązowy kolor tęczęwek, choć rysy twarzy dostałam po rodzinie ojca. Byłam podobna do swojej babci. Na półpiętrze wisiał jej portret z czasów, gdy miała około trzydziestu lat. Ilekroć na niego patrzyłam, zaciskałam kciuki, prosząc wyższą instancję o to, by naprawdę wyglądać kiedyś tak jak ona.

- No dobrze, skarbie, zanieś sałatkę do jadalni. - Mama odwróciła się do mnie z promiennym uśmiechem. Zauważyłam, że w kącikach jej oczu pojawiły się drobniutkie zmarszczki: oho, śródziemnomorska krew daje o sobie znać.

- Dzień dobry. - Odbierając miskę, ucałowałam mamę w oba policzki. Jakoś nigdy nie lubiła obściskiwania się na

powitanie, co było zaskakujące jak na Włoszkę.

- Jak podróż? - Wzięła tacę z pieczywem i poszła za mną.

- W porządku, ani razu nie złamałam przepisów. - Zachichotałam: mama zawsze przesadzała z nadmierną troską, uważając, że jeżdżę jak wariat i policja zatrzymuje mnie co pięć metrów, wręczając kolejne mandaty. Tak naprawdę nigdy nie dostałam żadnego, zbyt kochałam Cukiereczka, by ryzykować utratę prawa jazdy i powtórne egzaminy.

Lunch zjedliśmy we troje. Korciło mnie spytać, gdzie podziwiała się nowy nabytek taty. Nie widziałam go ani razu, odkąd przyjechałam, a przecież wypadało, żeby się pokazał, przedstawił czy coś. Skoro miałam spędzić w jego towarzystwie najbliższe kilka tygodni...

Nie wytrzymałam po lunchu.

- Tato, a ten, nie pamiętam, jak ma na imię, jeszcze tu jest? - Rzuciłam niedbale pytanie, wypuszczając przy tym chmurę dymu.

- Tak. - Ojciec również palił. Staliśmy ramie w ramie na tarasie z tyłu domu i kopciliśmy jak parowozy. - Po śniadaniu wyszedł, jak powiedział, rzucić okiem na brzegi jeziora. Zabrał wędkę.

- Aha. Wędkę, a do niej pewnie z sześć puszek piwa - mruknęłam. - Dobrze wiem, jak wygląda łowienie „po męsku”. Ryby nigdy nie chcą brać, za to piwo wchłania się niemal przez skórę.

- On nie pije. - Tato rozwiązał moje obawy. - Nie widziałem, żeby wypił coś poza kieliszkiem wina do obiadu.

- Jesteś pewien, że... - Nie dokończyłam. Staruszek i tak pewnie wiedział, o co mi chodzi.

- Nie masz się czego obawiać. - Ojciec poklepał mnie po ramieniu. - Może jest trochę dziwny i mało mówi, ale... Głupio to zabrzmiało, jednak ma w sobie coś, co uspokaja.

- Albo usypia czujność, zależy, jak na to patrzeć - dodałam od siebie. - Może to jakiś zbiegły przestępca?

Ludzie, których inni określali mianem „dziwnych”, automatycznie stawiali się dla mnie podejrzani. Tym razem też w mojej głowie pojawiła się wizja ukrywającego się w naszym domu psychopaty, czekającego na okazję do ataku. Oczywiście, na mnie. Już widziałam, jak uciekam, wzorem idiotek z masowo przeze mnie oglądanych horrorów, piszcząc, wrzeszcząc i drąc szaty, wyobrażałam sobie, jak pędzę po schodach na piętro i chowam się w łazience, a on lezie za mną ze złowieszczym chichotem i nożem w ręce.

Tatko rozwiął moje wizje.

- Przesadzasz. - Znów kilka klepnięć w ramię: pewnie będę miała siniak. - Rozmawiałem z nim, wyjaśniłem, sam stwierdził, że do naszego powrotu zrezygnuje z pewnych przywilejów.

- To on ma przywileje? - Uniosłam brwi, zdziwiona użytym przez ojca określeniem.

- Źle się wyraziłem. Ma wolny wstęp do domu, to wszystko.

- No kurde - stęknęłam. - Uwzględniłeś go w testamencie czy co? Przepraszam - dodałam szybko, widząc zagniewany wzrok ojca.

- Bardzo dużo czyta, więc pozwalałam mu przesiadywać w bibliotece.

- No, to w takim razie założę mu kartę i będzie mógł wypożyczać książki do domu. - Zgasiłam papierosa. - Mama cię woła. - Zerknęłam na wyświetlacz komórki. - Rany, już druga?

Pożegnałam rodziców i patrzyłam, jak znikają za zakrętem dojazdówki.

- Wakacje uważam za rozpoczęte - powiedziałam do siebie. Poklepałam nagrzaną maskę Chevy'ego. - Czas iść do garażu, Cukiereczku. Nadmierne opalanie nie służy na cerę, dostaniesz zmarszczek - przemawiałam do samochodu, wjeżdżając do ciemnych czeluści chłodnego pomieszczenia.

Wewnątrz pachniało woskiem i olejem silnikowym. Wiszące na ścianie półki pełne były przeróżnego rodzaju narzędzi, obok nich zawieszono na gwoździach lśniący zestaw kluczy.

- Jak będziesz grzeczny, weźmiesz porządną kąpiel z pianką, co ty na to? - spytałam, delikatnie zatrzaskując drzwiczki wozu.

- Z zasady jestem grzeczny, a kąpeli nie powiem nie - rozległo się gdzieś z tyłu. Podskoczyłam, pewna, że głęboki, męski głos naprawdę należy do mojego ukochanego Cukiereczka. Dopiero po chwili zauważyłam padający na podłogę garażu cień kogoś stojącego w wejściu.

Oświetlona wiszącym za plecami słońcem postać sama wyglądała jak cień, prawie czarna na tle jasności podwórza.

- Ładnie to tak straszyć ludzi? Mało się nie zsikałam. - Wyskoczyłam na zewnątrz, patrząc zadziornie na tego kogoś.

- Pewnie byłby to zabawny widok. - Uniósł jedną brew, przyglądając mi się z ciekawością. - Ty musisz być córką Roberta. - Mówił z obcym, nieco śpiewnym akcentem.

- Nie wiem, czy muszę, ale jestem. - Obejrzałam go w kilka sekund, od razu klasyfikując.

Był przeciętny. No, może nie całkiem, bo oczy miał nawet ładne, zielone, ale chyba nie przyciągał damskich spojrzeń. Rysy twarzy i akcent potwierdzały moje przypuszczenia: pewnie pochodził z daleka. Z wyglądu należał do fascynującego dla dziewczyn przedziału wiekowego, czyli 30 plus. Wysoki, choć nie tak jak mój ojciec, za to chudy jak zapalka. Rozpięta do połowy koszula odsłaniała wątłą klatkę, całkiem pozbawioną owłosienia. Jednym słowem: nic dla mnie.

- Może byś się tak przedstawił? - zagadałam po chwili czekania.

- Vae.

- A dalej?

- Dalej? - zdziwił się.

- Przecież masz chyba jakieś nazwisko? - podpowiedziałam, nieco wkurzona. Gość jak nic robił sobie ze mnie jaja.

- Chcesz za mnie wyjść, że tak się dopytujesz? - uśmiechnął się.

No tak. Zęby miał może i ładne, równe i bielutkie, ale drobne jak mleczaiki, na dodatek między górnymi jedynkami widniała niewielka przerwa.

- Niedoczekanie - fuknęłam na niego. - Nie wydam się za kogoś, kto uśmiechając się, pokazuje dziąsła. - Z satysfakcją patrzyłam, jak jego twarz wydłuża się, a uśmiech spływa z niej, zastąpiony totalnym zaskoczeniem. Widać nie spodziewał się, że potrafię się odszczekać.

Zostawiłam tatusiowe znalezisko na progu garażu i wyszłam, dumna z siebie.

- Hej! - Facet krzyknął za mną. - Może w ramach rewanżu podasz swoje imię?

Zatrzymałam się, odwracając w jego stronę.

- A co, mój tato ci go nie podał?

- Mówił, ale nie słuchałem. - Znów wyszczerzył się jak jakiś głupi.

- Yasmine - burknęłam. Nie przepadałam za swoim imieniem. Nie dość, że miało oryginalną, wymyśloną przez rodziców pisownię, to na dodatek było nazwą rośliny. Jaśmin... Nadając mi je, starzy musieli mieć niezły odlot.

- Yas-mine. - Powtarzając, rozdzielił je na dwa człony. Drugi, po oddzieleniu od całości i w prawidłowej dla pisowni wymowie fonetycznej, brzmiał jak angielskie słowo „kopalnia”.

Nowa interpretacja niezbyt mi się spodobała. Co jak co, ale ten koleś nie zanurzy we mnie swojego oskardzika.

- Mów mi po prostu Yas - pouczyłam chudzielca na odchodnym.

Mój grafik zajęć prawie nie uległ zmianie. Nadal spędzałam pół nocy przy komputerze lub przed telewizorem, potem spałam do południa.

Zabijałam czas, grając w durne gry MMO, zmieniając je częściej, niż przeciętny facet zmieniał bieliznę.

Niespokojna dusza: wpadałam na serwer gry, zachwycona jej atmosferą, z mocną, podkreślaną na ogólnym czacie deklaracją pozostania, po czym znikałam bez słowa, znudzona powtarzającym się, bezsensownym zabijaniem tamtejszej zwierzyny. Nie umiałam skupić się na czymś na dobre. I nie mam tu na myśli tylko gier, ale w ogóle własnego życia.

Podejmowałam „poważne” decyzje, rzucałam się na głęboką wodę z przekonaniem, że tym razem dam radę.

Ile razy zmieniałam szkołę? Trzy? Cztery? Żadna nie była tą, która dałaby mi pełną satysfakcję. Zawsze coś mi przeszkadzało. W końcu doszłam do wniosku, że nie będę marnować czasu tylko po to, żeby po latach nudnych zajęć dostać nic dla mnie nieznaczący papier.

Nie, nie brakowało mi inteligencji. Nie byłam głupia. Mogłam nauczyć się materiału w ciągu trzech, czterech dni, nadrabiając w ostatniej chwili wszystkie zaległości.

Problem w tym, że mi się nie chciało. Nie musiałam.

Życie było dla mnie łaskawe. Miałam pieniądze. Miałam swobodę, o której mogła marzyć większość ludzi w moim wieku. Mogłam pozwolić sobie na olewanie tego, co dla innych było priorytetem.

Mogłam... wszystko.

A jednak nie korzystałam z tego. Coś we mnie zapierało się rękami i nogami na samą myśl o porzuceniu wszelkich zahamowań. Moi rówieśnicy zanurzali się z głową w rui i poróbstwie, seksie i narkotykach. I nawet nie nabierali

przedtem powietrza, więc tonęli szybciej, niż potrafili zliczyć do stu.

Lubiłam dobrą zabawę. Lubiłam dobry seks. Lubiłam wypić. A jednak w przeciwieństwie do większości przyjaciółek ani nie byłam młodocianą matką, ani nie miałam za sobą skrobanki.

Może byłam mądrzejsza, niż sądziłam?

Pewnie w jakiejś części miałam rację. Tyle że wiele też zawdzięczałam rodzicom. Należeli do niewielkiego odsetka tych, którzy umieli przekazać własną wiedzę bez mądrzenia się. Odkąd pamiętam, rozmawiali ze mną, tłumaczyli, a potem pozwalali mi przekonać się na własnej skórze, że mieli rację.

Na trzynaste urodziny podarowali mi książkę. Nie były to baśnie braci Grimm czy inne, podobne opowieści. Dostałam swój pierwszy poradnik w sprawach seksu, dostosowany do mojego wieku, wyjaśniający wiele i równie wiele ukrywający.

Wcześniej niż inne małolaty pojęłam, co to antykoncepcja. Masturbacja. Nawet termin „fellatio” nie był dla mnie czymś brzmiącym obco, jak nazwa zamawianej we włoskiej knajpie pizzy. Niby człowiek wie, o co prosi, ale tak w zasadzie nie ma pojęcia, co dostanie.

Ja wiedziałam.

Rozmyślając o życiu, klapnęłam na leżaku ustawionym przy brzegu jeziora. To był mój codzienny, kultywowany od lat zwyczaj, zakłócany tylko kapryсами pogody. Ubrana w dwuczęściowy kostium przysiadłam w cieniu drzew, delektując się tak zwanymi okolicznościami przyrody.

Odpoczywając, patrzyłam na coś, co unosiło się na wodzie

daleko od brzegu, ciemnemu kształtowi, z chwili na chwilę zbliżającemu się do mnie.

No tak, Vae. Jego ubranie leżało na piasku kilka kroków od mojego leżaka. Wcześniej nie zwróciłam na nie uwagi, zajęta sobą.

Przyjrzałam się porzuconym ciuchom.

Czarna koszulka, czarne dżinsy, wyświechtane trampki. W czymś takim mógł chodzić zarówno żebrak, jak i zwykły człowiek. Ubranie jak ubranie, mogło ukrywać pod sobą każdego.

A Vae? Od czterech dni unikał mnie, pojawiając się tylko od czasu do czasu gdzieś poza zasięgiem mojego głosu. Jedynie wieczorem, przed snem, stojąc w oknie pokoju, widziałam światło w jego domku.

Raz zaprosił mnie na ryby. Odmówiłam. Wyglądał na zadowolonego, że nie chciałam pójść; bez słowa zarzucił sobie wędkę na ramię i znikł gdzieś na dobre.

Oderwałam wzrok od jakże powabnych ciuszków i wpatrzyłam się w dryfującą na lekkiej fali głowę. Unosiła się blisko brzegu, więc facet musiał leżeć na dnie.

- Chciałbym wyjść! - krzyknął, widząc, że na niego patrzę.

Czyżby był goły?

- Droga wolna - odpowiedziałam.

Jeśli nie miał na sobie kąpielówek, wezmę go na przetrzymanie. Ciekawe, ile wysiedzi w wodzie.

- Mogłabyś na kilka minut odejść?

- Musiałabym się ruszyć - odkrzyknęłam, cytując Muriel z serialu dla młodzieży.

Odplynął kawałek dalej i wrócił. Widać było mu zimno. W myślach widziałam jego członka, skurzonego do minimalnych rozmiarów, ledwie wystającego z chudego, kudłatego łona, i wiszące poniżej, obkurczone, przyciśnięte do krocza jądra wielkości orzechów. Laskowych. To wyobrażenie rozbawiło mnie tak, że parsknęłam śmiechem.

- Yas, pójdziesz zobaczyć, czy nie ma cię w domu? - zawołał.

Jak do blondi, która od razu zerwałaby się z miejsca i pobiegła sprawdzić. Wkurzyłam się.

- Słuchaj, od przyjazdu co dzień siedzę tu o tej samej godzinie, więc wiedziałeś, że dziś będzie tak samo. Jeśli chcesz, wyłaź. Myślisz, że nigdy w życiu nie widziałam gołego faceta? - odparłam już mniej wesoła. Nie lubiłam, gdy ktoś traktował mnie jak idiotkę tylko dlatego, że byłam kobietą. - Nie zadziwisz mnie - dodałam pewna, że Vae stchórzy.

Równie dobrze mógł sobie odpuścić, wyleźć na brzeg gdzieś dalej, w krzakach, i zasłonić się listeczkiem.

- No, skoro tak mówisz... - Poderwał się żwawo, jakby tylko czekał na moje słowa.

Specjalnie nie odwracałam wzroku: niech nie myśli, że wstydzę się cudzej golizny.

Pożałowałam swojej decyzji prawie natychmiast.

Facet wyłonił się z niewielkiej fali jak męski odpowiednik Afrodyty. Szedł, a jak nie mogłam oderwać wzroku od tego, co dyndało mu między nogami. Patrzyłam jak zahipnotyzowana, w myślach nakazując sobie: nie gap się tak, głupia krowo, pomyśl o dziąsłach i dziurze między zębami.

Wszystko na nic, oczy nie chciały patrzeć gdzie indziej.

Facet miał najpiękniejszego penisa, jakiego dane mi było zobaczyć w ciągu całego życia. Prostej jak strzała, od nasady po łebek jednakowej grubości. Na dodatek, dziękować wszystkim bogom świata, był obrzezany.

Choć jego właściciel dopiero co wyszedł z chłodnej wody, organ miał jakieś naście centymetrów długości.

Tyle, ile ma przeciętny penis we wzwodzie.

Matko Boska, ile może mieć, gdy jego właściciel się podnieci???

BUM!

Mój dotychczasowy faworyt po względem kutasiej urody, Ron Jeremy, z hukiem spadł z piedestału, ustępując miejsca niepozornemu Vae.

Przełknęłam ślinę, widząc, jak facet wychodzi na brzeg, zgarnia ręką leżące na piasku ubranie i idzie dalej. Wciąż wlepiałam gały w przyrośnięte do jego ciała arcydzieło natury.

Zatrzymał się tuż obok mojego leżaka. Widziałam, jak krople wody spływają po jego brzuchu, widziałam, jak lśnią na różowej główce penisa i spadają, znikając z mojego pola widzenia.

- Te niedomknięte usta to zaproszenie, bym z nich skorzystał? - Usłyszałam niski głos Vae.

Pokazałam mu palec. Odszedł, śmiejąc się jak osioł.

Adam jednak przyjechał. Narzekając, że musiał wlec swój tyłek na wieś, wysiadł z samochodu, wbrew słowom szczerząc się do mnie szeroko, a potem objął mnie i uścisnął, jakbyśmy

nie widzieli się kilka miesięcy.

- No jestem - powiedział, oglądając mnie z dystansu długości jego ramion. - Opaliłaś się, i schudłaś - stwierdził.

- Nie gniewasz się, że zepsułam ci weekend? - spytałam asekuracyjnie. Namawiałam go na przyjazd do mnie tak żarliwie, że w końcu nie miał wyjścia i musiał się zgodzić. Chyba opowieść o tajemniczym nabytku tatki zrobiła swoje, szczególnie gdy wspomniałam, co ów nabytek ma między nogami. Adaś, tak jak ja, był wielbicielem męskich walorów.

- I tak nie miałem żadnych planów. - Wzruszył bez troski ramionami. Jeśli kłamał, robił to bardzo przekonująco.

- Choć tyle dobrze. Masz jakiś bagaż? Przygotowałam ci pokój z widokiem na jezioro, będziemy sąsiadami.

- Serio? - Wrócił do wozu, wyciągnął z tylnego siedzenia pokazną torbę i zarzucił ją sobie na ramię. - To co, uroczysty obiad we troje? Ciekaw jestem tego twojego dziwołaga.

- Nie jest mój. - Westchnęłam z udawanym żalem. - Poza tym pewnie łązi wokół jeziora, jak zwykle. Z godzinę temu widziałam, jak znika w krzakach. Mówiłam mu, że będziemy mieli gościa, ale raczej go to nie obeszło - gadałam, prowadząc Adasia na górę. - Dobrze mówisz, to jakiś pieprzony dziwołag. Albo go nie ma, albo wysiaduje na brzegu, jakby się modlił, albo sterczy gdzieś i gapi się na mnie bez słowa. Kurwa, czasem się go boję, nie wiem, co siedzi w tej jego łepetynie. A może to rzeczywiście jakiś zbok, maniak albo morderca? - Mówiłam i mówiłam, nie dając Adamowi szans, żeby wtrącił choć słowo.

Wpuściłam go do pokoju i stałam pod ścianą, patrząc, jak

wypakowuje swoje ciuszki. Miał ich tyle, jakby zamiast na weekend wybrał się do mnie na miesiąc.

- Przez tego dupka zaczęłam sprawdzać w wiadomościach, czy gdzieś w okolicy nie było żadnego morderstwa, napadu, gwałtu, czegokolwiek, ale na szczęście o niczym nie pisali. Przysięgam, że gdyby tylko coś się pojawiło, walnęłabym tego dupka w łeb, związała i zadzwoniła po szeryfa.

- Cięta na niego jesteś. - Adaś zdjął koszulę i spodnie, stając przede mną w samych gatkach. Opinały go pięknie, nie powiem, ale już przestałam być wrażliwa na jego niewątpliwe wdzięki. Doskonale o tym wiedział, a że nasza przyjaźń chwilami przypominała stosunki łączące rodzeństwo, bez oporów rozebrał się do naga i nałożył na goły zadek luźne szorty.

- Nie wiem, czy cięta, raczej wkurwiona. Ignoruje mnie. - Przyznałam się do tego, co najbardziej mnie bolało. - Skoro już siedzi tu ze mną, mógłby przestać łązić kanałami i odezwać się czasem, zamiast sterczeć pod drzewami i wysłepiać się na mnie. - W moim głosie słychać było autentyczne oburzenie. - Siedzę za domem, widzę, że ten dupek stoi kawałek dalej i to od dobrej chwili, wołam go, żeby pogadać, a ten robi obrót o sto osiemdziesiąt stopni i odchodzi. To chore.

- Wkurwiona to inaczej cięta. - Adaś pouczył mnie, wieszając ciuchy w szafie. Na półce niżej ułożył równo trzy pary butów: adidasy, tenisówki i cholera wie po co, mokasyny. Na stopach miał plażowe klapki. - Można się kąpać? Woda jest wystarczająco ciepła? - spytał, patrząc z okna na jezioro.

Widziałam, jak jego twarz nabiera wyrazu rozmarzenia: mógł nic nie mówić, ale pobyt na wsi i spokój przydadzą mu się na pewno. Zdrowa opalenizna, niewyniesiona z solarium, też będzie wyglądać lepiej niż sztuczna.

- W sumie tak, ale po południu, koło piątej, będzie porządnie nagrzana. - Coś przyszło mi do głowy. - Adam, mógłbyś poudawać mojego byłego? - zagaiłam ostrożnie. Wpadłam na pomysł, żeby sprawdzić Pana Tajemniczego: ciekawa byłam, jak zareaguje, gdy na przykład uwieszę się na szyi Adasia podczas kąpieli w jeziorze. Czy w ogóle go to obejdzie. Przy okazji, o czym nie mówiłam wcześniej, mogłabym sprawdzić, czy tatowy podopieczny przypadkiem nie jest gejem. Jeśli tak, to krzyżyk mu na drogę.

Nie mogłam udawać sama przed sobą, że Vae zupełnie mnie nie obchodzi. Bałam się go, a raczej tego, co sobie o nim wyobrażałam, ale intrygował mnie swoim chłodem i obojętnością. Jakby to miało być coś dziwnego: która dziewczyna, rzucona na zadupie i mająca za towarzystwo w miarę wyglądającego faceta, nie będzie próbowała zrobić na nim wrażenia? I wcale nie chodziło mi o to, że widziałam go nagiego. Wcale. No, może troszkę: byłam ciekawa, jaki jest w łóżku. Kto by nie był ciekaw, widząc jego niepospolitych rozmiarów penisa? I nie mówię o tym, że nagle zachciało mi się iść z tym dupkiem do łóżka. Nie, nie chodziło mi o seks, tylko o to, żeby przestał traktować mnie jak niepełnosprawną umysłowo i nie odwracał się plecami za każdym razem, gdy się do niego odezwę.

Wróciłam myślami do Adama, wpatzonego w widok za

oknem. Przechylał się, wodząc za czymś wzrokiem, więc podeszłam zobaczyć, co tak zaabsorbowało jego uwagę.

Jak się spodziewałam, Adaś obserwował łażącego po brzegu Vae, targającego z wody długasny konar. Trzymał go za cieńszy koniec i ciągnął za sobą po piasku, zostawiając w nim głęboką bruzdę. Zatargał swój ciężar pod drzewa i wypuścił z rąk.

- Silny skurwiel. - Mój przyjaciel odezwał się z niekrytym podziwem

- No - przyznałam, nie mogąc oderwać oczu od chudych, ale fajnie umięśnionych ramion faceta. - A nie wygląda.

- Ładnie zbudowany jak na takiego chudzielca. - Adaś najwyraźniej był pod urokiem Vae.

- Musiałbyś zobaczyć go całego. Ma długie nogi.

- Kudłaty? - Adam oczywiście wiedział o paradzie golizny, jaką zafundował mi tatusiowy dupek.

- Na szczęście nie, bardzo skromnie.

- To dobrze, nic nie będzie wlaźć między zęby.

- Adam! - palnęłam go w ramię, rozbawiona.

- No co, podoba mi się. - Adaś uśmiechnął się pięknie, z miejsca mnie tym rozbajając. - Może woli chłopców i dlatego ma cię tam, gdzie ewentualnie mógłbym zajrzeć?

- No to sprawdź, czy polecą na ciebie. Co najwyżej będziesz miał przyjemny weekend. - Dałam za wygraną: może i Adaś miał rację i chłodny dystans, z jakim Vae do mnie podchodził, wynikał z jego orientacji seksualnej? Jeśli tak, to będę musiała wyjaśnić mu, że mimo wszystko może ze mną rozmawiać, bo nie widzę w nim obiektu swoich westchnień,

tylko kogoś, z kim mogę zamienić parę słów. A to przecież nic nie znaczy.

Tylko jeśli miałyby być gejem, dlaczego paradował przede mną nago? To mi do siebie nie pasowało, ale pies z tym, nie ma sensu zastanawiać się, co „autor miał na myśli”.

Zgarnęłam Adasia pod rękę i wyciągnęłam z domu, zanim Vae zdążył dać nogę i zniknąć w tym swoim chorym stylu. Wyszliśmy na patio akurat w chwili, gdy je mijał i nie mógł udawać, że nas nie widzi.

Zatrzymał się w pół kroku, obrócił w naszą stronę i, przysięgam, jego nozdrza zadrżały, jakby węszył. Trwało to może sekundę i gdybym w tym momencie mrugnęła, mogłabym tego nie zauważyć.

- Cześć - powiedziałam, puszczając ramię przyjaciela. - To jest Adam. Adasiu, to Vae. Tutejsza służba porządkowa.

Vae spojrzał na mnie, jakbym zabiła mu chomika: odrobinę zmrużone oczy i lekko ironiczne wykrzywienie ust świadczyło o tym, że mogłam odpuścić sobie nazwanie go sprzątaczką. Chyba się wkurwił. Ja bym się wkurwiła.

Adam wyciągnął do Vae rękę: ten przyjrzał się jej, potem spojrzał na swoje dłonie, upaprane mokrą korą i błotem i niech go cholera, złapał dłoń Adasia, potrząsając nią, jakby miał zamiar urwać. Wyszczrzył śmieszne ząbki, pokazując szczelinę między jedynekami.

- Adaś - powiedział, co w jego wykonaniu było śmieszne. Miał niski, basowy głos, zbyt niski, żeby zwracać się zdrobnieniem do innego faceta.

Parsknęłam śmiechem, opluwając sobie brodę. Vae od

razu na mnie popatrzył, ostro, karcąco, ale miałam w głębokim poważaniu to, co sobie w tym momencie pomyślał. W każdym razie dla mnie to, jak się zachował, było jasne: wolał chłopców. Widok ślicznej buzi Adama podziałał na niego jak cholera.

Może i dobrze, pomyślałam. Przynajmniej będę wiedzieć, że nie zaczniesz łązić za mną, narzucać się, a już na pewno mnie nie zgwałci. Geje nie jarają się gwałceniem dziewczyn.

- Vae, zjesz z nami obiad? - zaproponowałam pod wpływem impulsu, sądząc, że i tak odmówi.

- Bardzo chętnie. - Puścił dłoń Adama i kciukiem startł mi coś z brody. - Ups, chyba cię wybrudziłem - uśmiechnął się radośnie.

Poczułam zapach żywicy i dotarło do mnie, że pełne entuzjazmu powitanie było z jego strony zamierzone i złośliwe. Specjalnie uściśnął dłoń Adasia swoją, upapraną niemiłosiernie, i specjalnie pomazał mi brodę. Ten dupek miał więcej tupetu niż włosów pod brzuchem.

Miałam szczerą ochotę powiedzieć mu, jaka z niego menda, ale zamiast tego uśmiechnęłam się milutko, patrząc w jego całkiem ładne, zielone oczy, teraz pełne rozbawienia.

- No to leć się ogarnąć, bo za pół godziny jemy. I dokładnie umyj rączki, żeby ci się do nich sztucce nie przykleiły - powiedziałam słodkim tonem.

Wesołość w oczach Vae zgasła, zastąpiona czymś mrocznym, od czego zrobiło mi się nieswojo. Bez słowa poszedł do swojego domku, zostawiając nas tak, jak staliśmy: mnie z głupią miną i Adasia, próbującego zdrapać z wnętrza

dłoni przyklejony strzęp kory.

- Wcale mu się nie dziwię, że omija cię z daleka. - Mój drogi przyjaciel stanął w obronie dupka. - Zawsze mu tak dogadujesz?

- Raz, że prawie z nim nie rozmawiam, dwa, że on sam zaczyna. - Naburmuszyłam się. - Kurwa, powiedziałam, że obiad za pół godziny, a nie mam nic przygotowane. Chyba zdążę zrobić steki? - zastanawiałam się na głos, pędząc do kuchni. - Adaś, pomożesz mi z sałatą, obejdziemy się bez ziemniaków. Chyba, że mama gdzieś trzyma purée, to zdążę zrobić. Albo nie, nie cierpię tej papki, jest wstrętne.

- W pół godziny zrobisz coś włoskiego. - Adam stanął przy zlewie. Szczoteczką do mycia warzyw zaczął skrobać wnętrze dłoni, trzymając ją pod bieżącą wodą. - Wstaw wodę na makaron i rondel na pomidory, zrobimy szybkie sugo. To, które ostatnio u ciebie jadłem, było zajebiste.

- Dzięki. - Szybko wstawiłam garnek z wodą i wyjęłam z lodówki dwie puszki pulpy pomidorowej, do tego świeży czosnek i krojone w drobną kostkę mrożone warzywa. Zanim skończyłam, Adaś rozgrzał w rondlu olej i wlał do niego zawartość puszek.

Zdążyliśmy. Udało nam się uwinąć ze wszystkim, nim jaśnie pan Vae stanął w drzwiach, wypucowany, aż błyszczał, w świeżutkiej koszulce, uczesany, z rączkami bez odrobiny żywicy. Popatrzył na mnie dziwnie, wyraźnie tłumiąc śmiech, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Zerknęłam na Adama, zajętego nakrywaniem do stołu w rogu kuchni: chyba nawet nie zauważył, że Vae był i znikł.

Może dupek obraził się, że obiad nie czeka na niego na stole, a ja nie rozwijam przed stopami jaśnie pana czerwonego dywanu?

Ale nie, zjawił się po chwili, dzierżąc w ręce szmatkę.

- Musiałaś się bardzo spieszyć, mała - powiedział cicho, podchodząc do mnie. - Tak bardzo, że zapomniałaś zmyć z siebie brud - dodał. - To dla mnie tak zapamiętałaś pracowałaś? - Mówił tak cicho, że Adam stojący ze trzy metry dalej na pewno go nie słyszał.

Cofnęłam głowę, czując dziwny, intensywny zapach, unoszący się z materiału.

- Co to? - spytałam nieufnie. Pomięłam milczeniem jego pytanie: ani myślałam potwierdzić, że owszem, dla niego, bo skoro powiedziałam, żeby przyszedł za pół godziny, to chciałam być słowna.

- Środek do czyszczenia. Doskonale zmywa żywicę i różne takie - powiedział. Chwycił mnie pod brodę i kilka razy przetarł szmatką miejsce, które wcześniej umazał brudem. Robiąc to, raz po raz zerkał mi w oczy, ja za to nie spuszczałam z niego wzroku, ciekawa, o co mu chodzi. Straszliwie mnie intrygował i jednocześnie wkurzał. Najpierw mnie unikał, potem pokazał się goły, znów unikał, a teraz zachowywał się, jakbyśmy byli... w fazie zalotów? - Gotowe. Przemyj wodą. - Puścił mnie i zajął miejsce przy stole, wybierając środkowe. Kilka razy podniósł widelec i upuścił go z hałasem na blat.

Spojrzałam na Adama, on na mnie, potem oboje popatrzyliśmy na tłukącego się w najlepsze Vae. Po kilku

następnych razach podniósł na nas wzrok.

- Nie przykleja się. - Jeszcze raz demonstracyjnie uniósł widelec, otworzył dłoń i pozwolił mu upaść na stół.

- Jezu, zawsze jesteś taki czepialski? - Postawiłam na środku blatu rondel z obiadem: makaron wrzuciłam wcześniej do sosu i przez chwilę trzymałam na ogniu, mieszając. Potem posypałam parmezanem.

- Nie - zaprzeczył i na tym zakończył rozmowę. Nie czekając na nas, nałożył sobie na talerz okazałą porcję i nawinął na widelec kilka nitek makaronu, przyglądając im się z bliska. Potem spróbował ostrożnie, jakby w życiu nie jadł spaghetti. - Smaczne. Myślałem, że danie bez mięsa nie nadaje się do jedzenia, ale to jest całkiem dobre - stwierdził.

I to były ostatnie słowa, jakie wypowiedział podczas całego obiadu. Po prostu siedział między mną i Adasiem, jadł bez pośpiechu i milczał, choć my gadaliśmy non stop, głównie wspominając „stare czasy”. Podejrzewałam, że nie miał wiele do powiedzenia, a może nie chciał dzielić się z nami własnymi wspomnieniami i doświadczeniami. Tak czy siak, szybko przestałam zwracać na niego uwagę, choć co rusz czułam na sobie jego wzrok, a kilka razy przyłapałam go na tym, że zerka na mnie znad talerza.

- Zakochałeś się? - spytałam wreszcie, robiąc do niego słodkie oczy. Miałam zajebisty nastrój: obiad się udał, Adaś sypał anegdotami, w perspektywie mieliśmy długi wieczór nad jeziorem, grilla, do tego flaszeczkę, muzykę. Coś, co lubiłam i czego mi brakowało.

- Chciałabyś. - Vae odsunął pusty talerz, wstał, włożył

naczynie do zlewu i przeciągnął się. - Dziękuję za poczęstunek.

Wyszedł, nim otworzyłam usta, żeby powiedzieć: „Nie ma za co”. W jednej chwili był, w następnej widziałam tylko domykające się za nim drzwi kuchenne.

- No kurwa - jęknęłam zdumiona. - Szybciej nie mógł?

- Nie chcę nawet wyobrazić sobie, jak się masturbuje. -
Adaś, jak zwykle, musiał powiedzieć coś, przez co mało nie zakrztusiłam się ze śmiechu.

Wygramoliłam się z wody, siadając na pływającym kawałek od brzegu pomoście. Podparłam się z tyłu na rękach, wystawiając twarz do słońca. Gorące deski parzyły mnie w tyłek: zacisnęłam zęby, gotowa przetrzymać najgorszy ból.

Był poniedziałek. Adaś wrócił do miasta dzień wcześniej: zegnałam go nie bez żalu, mając pewność, że znów będę spędzać czas sama z sobą, sporadycznie mając za towarzystwo światło w oknie domku Vae. On sam, jak zwykle, był nieobecny. Pojawiał się w zasięgu wzroku i znikał, denerwując mnie coraz bardziej swoim bezczelnym zachowaniem. Jeśli nie pasowało mu nasze, moje towarzystwo, mógł powiedzieć, a nie czaić się jak partyzant w lesie.

Porzuciłam myślenie o zielonookim dupku i spojrzałam na niebo, prawie ślepnąc od słońca. Jasne! Po co było zabierać z sobą okulary, lepiej psuć wzrok, gapiąc się w oślepiający blask. Cała ja.

Drobne fale rozbijały się z chlupotem na pływakach, utrzymujących pomost na powierzchni jeziora. Czasem jakaś

zabłąkana kropla spadała mi na nogę albo na rękę.

Gdzieś niedaleko woda wzburzyła się na moment: nad kipiela zamigotało lśniące ciało okazałej ryby, znikając zaraz pod powierzchnią.

Nie wzruszało mnie to. Dokąd mieszkanki jeziora nie wskakiwały mi do stanika, mogły hasać do woli, nawet tańcząc na powierzchni menueta.

Położyłam się na plecach, chłonąc popołudniowe słońce. Co prawda nie musiałam się opalać, ale lubiałam poleżeć w ciepełku, słuchając odgłosów natury i własnych myśli.

Było tak spokojnie, spokojnie i leniwie, że obróciłam się na bok i ułożyłam do drzemki. Głowę oparłam na wyciągniętej ręce i zamknęłam oczy.

Moment później pomost zatrzęsł się, jakby coś wielkiego uderzyło w jego bok, popychając zarazem na głębszą wodę. Usiadłam, przestraszona.

Na jeziorze panował spokój, żadnych łódek, kajaków ani żywej duszy w zasięgu wzroku.

A jednak coś uderzyło w pływaki po raz drugi.

Krzyknęłam, tym razem mając przed oczami wizję krążących pod powierzchnią bestii z trójkątną płetwą na grzbiecie. Co z tego, że woda w jeziorze była słodka? Zbyt duża liczba hollywoodzkich produkcji, wchłonięta przez młody umysł, potrafi wypaczyć rzeczywistość.

Przypadłam płasko na brzuchu, chwytając się krawędzi pomostu. Wciąż kołysał się na falach wzburzonych przez to coś po powierzchnią.

W myślach pospiesznie kalkulowałam swoje szanse: do

brzegu miałam jakieś dwadzieścia metrów. Jeśli nie będę się ruszać, być może (rekiny) odpłyną, a wtedy zaryzykuję skok i szybki kraul do plaży. Albo, co bezpieczniejsze, zacznę wiosłować, popychając pomost w stronę brzegu.

Zaraz... Co ja, kurwa, robię? Leżę na deskach, obmyślając plan ucieczki przed rekinem? Matko Boska, czy mój rozum skurczył się do rozmiarów rodzyńka, wysuszony przez nadmiar słońca?

- Chyba muszę rozjaśnić włosy, będę bardziej wiarygodna.
- Zaśmiałam się sama z siebie, siadając na środku pomostu. - Pewnie pływak uderzył w jakiś pień, przyniesiony prądem.

Coś wychylnęło na moment z toni po mojej lewej stronie, zniknęło i znów się pokazało. Ręka, trzymająca za skrzela okazała rybę. Za ręką wynurzyła się ociekająca wodą głowa.

- Przytrzymaj. - Ryba wylądowała na moich udach. Odruchowo złapałam ją obiema rękami, bojąc się, że zacznie się szamotać. Ale nie, okoń był martwy, co lepsze, na grzbiecie tuż za głową miał ślady zębów.

Rzuciłam rybę zwłoki na deski.

- Dobra, dwa mi wystarczą. - Vae wyskoczył z wody, trzymając drugiego okonia. Zwinnie wdrapał się na pomost i usiadł na wprost mnie, strząsając z siebie wodę jak pies.

Tym razem miał na sobie kąpielówki, a właściwie gatki sięgające połowy ud. Przez głowę przeleciała mi myśl: no tak, z krótszych mógłby mu wystawać.

- Moja kolacja. - Vae przeciągnął wyczarowaną skądś linkę przez pyski i skrzela obu ryb, zawiązał w pętlę i przewiesił przez skraj pomostu tak, żeby jego zdobyc

spoczęła w wodzie.

- Zagryzłeś je? - Musiałam spytać.

- Tak, a co?

- Dosyć niezwykła i brutalna metoda uśmiercania - stwierdziłam, wyciągając przed siebie nogi. Miejsca było wystarczająco dla dwóch osób, choć pomost nie był szeroki.

- Ty pewnie byś je utopiła - rzucił z kpiącym uśmiechem.

Zdziwiło mnie, że odzywał się do mnie tak, jakbyśmy robili to co dzień, a przecież przez dwa dni praktycznie nie dawał znaku życia. Co z nim jest nie tak? Miewa zaniki pamięci? Jakieś zawiechy, w trakcie których nie wie, co robi? W okolicy nadal nikogo nie zamordowano, nie napadnięto, nie zgwałcono, więc dlaczego ten chudy dupek zachowywał się, jakby w samotności przez długie godziny planował nowe zbrodnie, a potem wcielał je w życie?

Zerknęłam na niego spod oka: pochylił się nad wodą, poprawił wiązanie linki, potem sam się poprawił, przesuając bardziej na środek pomostu. Rozsiadł się dokładnie na wprost mnie, z rozłożonymi szeroko kolanami, na których oparł ręce.

Nie wiem, czy usiadł tak przypadkiem, ale w tej chwili prawie dotykałam stopą jego krocza.

Obróciłam głowę, omiatając spojrzeniem stromy brzeg po lewej. Ja oglądałam krzaki, Vae oglądał mnie. Czułam, że się gapi, miałam wrażenie, że jego oczy palą mnie wiązkami lasera.

- I jak? - spytałam po dobrej minucie.

- Co: jak?

- W skali od jeden do dziesięć ile byś mi dał? -

Popatrzyłam na niego. Oczywiście, że się gapił, oczy wlepił mi w górę od kostiumu.

- Osiem, w porywach dziewięć. - Zaśmiał się, podnosząc wzrok. Nie wiem, co go tak rozbawiło. Znow potrzęsnał głową, częstując mnie kolejną porcją zimnych kropli. Nawet nie zdążyłam się zasłonić. Drobną fontanną skąpała mnie od szyi w dół.

- Jeeezu - jęknęłam. - Mógłbyś ostrzec, zanim zaczniesz udawać psa?

- Po co? - Znow ten jego chichot. - Teraz mogę dać dziesięć. Kostium ci prześwieca.

Spojrzałam w dół: faktycznie, zmoczony materiał na piersiach prześwitywał. Udałam, że nie robi to na mnie wrażenia, siedziałam niewzruszona. Pozwoliłam sobie nawet zanucić pod nosem jakiś kawałek, choć czułam, że on ciągle gapi mi się na cycki.

Lekki wiaterek schłodził mokre miejsca na kostiumie: natychmiast skóra pod nim pokryła się gęsią skórą, czego efekt był przewidywalny.

- Jedenaście. - Facet dosłownie wymruczał słowo, zamiast powiedzieć je normalnie.

Zaczęłam nucić odrobinę głośniej. Chcąc odwrócić własną uwagę od tego, co się dzieje, zaczęłam poruszać stopą w rytm melodii.

Zaczęłam i natychmiast przestałam, czując pod palcami charakterystyczną miękkość ukrytych pod gatkami jąder.

- Trzynaście. - Kolejne mruknięcie z jego strony. - Czerwienisz się.

Miał rację: czułam, jak rumieniec wpełza mi na twarz, jakbym była co najmniej nastoletnią pensjonarką, która po raz pierwszy w życiu pozwoliła swojemu chłopakowi dotknąć kielkujących piersi. Mimo to patrzyłam wyzywająco prosto w oczy rozbawionego Bóg wie czym faceta. Niech nie myśli, że tak łatwo mnie speszyć.

Nie dam się. Nie ja, kolego.

Cofnęłam stopę. A raczej chciałam to zrobić, ale duppek położył dłoń na jej grzbiecie i docisnął mocniej do swojego krocza. Poruszył nią w górę i w dół.

Oślupiałam. Spodziewałam się wszystkiego, ale nie tego, że zacznie brandzlować się na moich oczach MOJĄ stopą.

Matko Boska, kurwa mać, jak nie pedał to zboczeniec, ja pierdołę, dziewczyno, z jakimi ludźmi ty się zadajesz? - przemknęło mi przez głowę.

- Puść mnie! - syknęłam, w jednej chwili tracąc ochotę na zabawę. - Puść moją nogę albo kopnę cię prosto w klejnoty!

- Piętnaście! - krzyknął cicho, szczerząc się radośnie. Puścił mnie: natychmiast sturlałam się do wody i popłynęłam do brzegu, mamrocąc pod jego adresem najpiękniejsze znane mi przekleństwa.

Wkurzył mnie: od początku pogrywał sobie, bawiąc się moim kosztem. Odgrywał się za wymuszony striptiz sprzed kilku dni? No to mu się udało.

Obejrzałam się: pomost był pusty, tak samo powierzchnia wody między nim a mną. Facet znikł, jakby rozpułnął się w powietrzu. Chyba że ukrywał się po drugiej stronie dryfującej na fali platformy, zasłonięty pływakami.

- Utop się, dupku - mruknełam, odwracając się z powrotem w stronę brzegu. - Kurwa! - wrzasnełam przestraszona. Facet jakby nigdy nic stał może pół metra przede mną, zanurzony po szyję, z linką przewieszoną przez ramię. Martwe okonie unosiły się między nami na powierzchni.

- Gdzie? - spytał grzecznym tonem, jeszcze bardziej mnie denerwując.

- Ty jakiś nienormalny jesteś? Bawi cię to? - krzyknełam.
- Lubisz straszyć ludzi? Idź się, kurwa, leczyć!

- Spokojnie. - Wyciągnął do mnie rękę, ale strzeliłam go po łapie, aż zapiekło. I to tak, że w oczach zakręciły mi się łzy.

- Nie dotykaj mnie! - Szarpnęłam się w tył, omal nie zanurzając się z głową. Może on stał na dnie, zanurzony prawie po brodę, ale dla mnie, niższej o kilkanaście centymetrów, było jeszcze za głęboko.

Byłam jednocześnie wściekła i upokorzona: dłoń piekła mnie, jakbym przytknęła ją do gorącego palnika, nałykałam się wody, oczy mi łzawiły, musiałam wyglądać jak niedoszła topielica, a ten zbok gapił się na mnie przez cały czas. Gorzej być nie mogło.

Uciekłam. Po prostu uciekłam, bez słowa i nie oglądając się za siebie.

Zamknęłam się w domu z mocnym postanowieniem, że nie wyjdę, gdy tatusiowy lokator będzie łaził po okolicy. Nie chciałam go widzieć.

Pierwszy raz ktoś dał mi po nosie i pokazał, że wcale nie jestem tak cwana, jak myślałam.

To bolało. Zawsze uważałam, że to ja dyktuję warunki i zasady gry, a tym razem było odwrotnie. Tym razem tylko wydawało mi się, że rządzę, a tak naprawdę byłam zabawką w rękach doświadczonego gracza. Ustawił wszystko tak, jak mu pasowało, począwszy od łożenia na golasa po dzisiejszą scenę na pomoście. Byłam pewna, że dokładnie wiedział, jak zareaguję, wszystko sobie wykalkulował i wymyślił cały scenariusz. Czy aż tak łatwo było mnie przejrzeć?

Jezu, jak ja go nienawidziłam!

Wytarłam oczy, bo ze złości popłakałam się jak dziecko, i podeszłam do okna.

Kręcił się przed swoim domkiem, nosił coś, układał, ale nie widziałam dokładnie co. W każdym razie musiało być ciężkie, bo podnosił każdą rzecz powoli i ostrożnie.

- Obyś się posrał z wysiłku - szepnęłam, życząc mu wszystkiego najlepszego.

Obejrzał się, podniósł głowę i popatrzył prosto w moje okno.

Stuk... stuk... stuk...

Poderwałam głowę, nasłuchując. Cisza.

Wróciłam do przeglądania poczty.

Stuk, stuk, stuk...

Znowu to samo. Spauzowałam muzykę w odtwarzaczu, nadstawiając uszu.

Stuk - stuk - stuk! Tym razem uderzenia były szybkie jak salwa z karabinu i prawie tak samo głośne. Ktoś pukał do drzwi.

Westchnęłam: wiedziałam kto. O tej porze nikt obcy nie mógł pojawić się na naszym terenie, szczególnie za domem. Tylko jeden osobnik miał na tyle tupetu, by przeszkadzać mi w wieczornych zajęciach.

Pan „Ale Ze Mnie Mądrała” Vae.

Zeszłam na dół w obawie, że będzie tak stał i dobijał się przez całą noc. Przybrawszy najbardziej znudzoną i zniechęconą minę, uchyliłam drzwi.

- Czego? - warknęłam, dając od razu poznać, że nie jest mile widziany. Demonstracyjnie omijałam go wzrokiem, skupiając całą uwagę na swoich paznokciach.

- Rozpaliłem ognisko i piekę ryby - usłyszałam.

- I co, przyszedłeś się chwalić czy skarżyć? - spytałam kpiącym tonem. - Jeśli chwalić, to cóż, dzielny z ciebie chłopiec. Jeśli chcesz się poskarżyć, to zaraz przyniosę ci numer telefonu zaufania. Tam na pewno chętnie ci wysłuchają i pomogą poradzić sobie z problemem - rzuciłam niedbałym tonem.

Nie wiem czy się wkurzył, ale sapnął śmiesznie. Dobra nasza, wygrywam 1:0.

- Pomyślałem sobie... - zaczął.

- Brawo! - Klasnęłam w dłonie. - A może po prostu rozboleła cię głowa? - spytałam ironicznie, wreszcie podnosząc na niego wzrok.

Przyznam, że zaskoczył mnie swoim wyglądem. Zamiast jak zwykle mieć na sobie byle jaki T-shirt i wytarte, znoszone dzinsy, nałożył czystą, brązową koszulę i dopasowane sztruksy z nieco rozszerzanymi na dole nogawkami. Nawet nieodłączne

trampki zamienił na całkiem niezłe, gustowne martensy. Uczesał się. Włosy miał ułożone w pozornie niedbały sposób, cholernie pasujący do jego pociągłej, po męsku surowej twarzy.

W tej wersji siebie wyglądał całkiem miło.

Odechciało mi się głupich komentarzy: facet musiał mieć powód, dla którego przyszedł pod moje drzwi ubrany jak na... Nie wiem dlaczego, ale bardzo pasowało mi stwierdzenie „na randkę”. Może umówił się z jakąś laską z okolicy i chciał iść po nią, a ja miałam za ten czas przypilnować mu ogniska?

- No dobra, mów. - Westchnęłam, otrząsnąwszy się z pierwszego szoku.

- Chciałem przeprosić za swoje dzisiejsze wygłupy i w ramach rekompensaty zaprosić cię na piezzonego okonia.

- Aha - bąknęłam, nie potrafiąc normalnie się odezwać. Zatkalo mnie: więc to ja bylam powodem, dla ktorego tak sie odpicowal? Zrobilo mi sie calkiem przyjemnie, nie powiem.

- Wiem, że trochę przesadziłem, choć, hm, prosiłaś się o to - wyjaśnił.

- No... - Znowu wydałam z siebie dźwięk, zaprzeczający posiadaniu przeze mnie jako takiego IQ.

- Więc jak, dasz się namówić? - Wskazał za siebie. Spojrzałam tam, gdzie pokazywał: niewielkie ognisko płonęło na placu przed domkiem, rozjaśniając swoim blaskiem jasną ścianę budynku i kilka pobliskich drzew.

- No dobrze. - Umiejętność głośnego wyrażania myśli wróciła do mnie w odpowiednim momencie. - Przyjdę, muszę tylko wyłączyć komputer i chyba ubrać coś bardziej

stosownego.

- Świetnie! - Uśmiechnął się. Miło, ciepło, z ulgą. Znów uderzył mnie kontrast między tym Vae, którego spotykałam od przyjazdu, a tym, który stał przede mną. Jakbym widziała inną osobę.

- No to do zobaczenia za dziesięć minut. - Zamknęłam drzwi, nie czekając na odpowiedź. Przez szybkę u góry widziałam, jak odchodzi na tle bijącej od ogniska łuny.

Popędziłam na górę. Wpadłam do pokoju i od razu otworzyłam szafę, szukając wzrokiem czegoś, co mogłam ubrać zamiast wyciągniętego dresu, w którym łąziłam po kąpieli. Musiałam znaleźć coś, co nie będzie ani zbyt oficjalne, ani prostackie. Pod dresami nie miałam na sobie nawet majtek.

Wyjęłam z szuflady czarne figi obramowane koronką, ale wrzuciłam je z powrotem. Zamiast nich sięgnęłam po rzadko przeze mnie noszony komplet, wycięte na biodrach majtki z jedwabnym haftem i stanik push-up. Niezbyt wyzywające, w sam raz na...

- Na nic, przecież nie będziesz się przed nim rozbierać - mruknęłam do siebie.

Zrzuciłam dresy, nałożyłam bieliznę i znów stanęłam przed szafą, po kolei odrzucając różne zestawy. Żadnej spódniczki. Żadnej sukienki. Żadnych wielkich dekoltów ani obcisłych sweterków. Nie chciałam wyglądać, jakbym czekała, aż ktoś mnie przeleci.

W końcu zdecydowałam się na luźną kremową bluzeczkę z rękawem pod łokieć i wąskie czarne spodnie do kostek, do

tego białe tenisówki.

Obejrzałam się w lustrze: prawie dobrze. Włosy! Po kąpieli zostawiłam je luzem, żeby wyschły, więc wisiały w nieporządnym pasmach, bez ładu i składu. Rozczesałam je szybko, szarpiąc kilka poplątanych splotów, i rozsypałam na plecach.

Teraz mogłam iść.

Nie tylko wygląd Pana Mądrali był dla mnie zaskoczeniem, ale też to, jak przygotował się do wspólnej kolacji. To, co dźwigał z mozołem po południu, było okazałymi kamieniami, teraz otaczającymi stos płonącego drewna. Jeden z kamieni, płaski jak stół i dość duży, służył za płytę, na której piekły się ryby. Wyglądały na prawie gotowe i pachniały tak, że ślina sama napływała do ust. Trochę nie podobało mi się, że oba okonie wciąż mają głowy; żywiłam cichą nadzieję, że przed przyrządzeniem zostały przynajmniej wypatroszone.

- No, no, postarałeś się - stwierdziłam, patrząc na czekający niedaleko koc, rozłożony poza zasięgiem buchającego z ognia żaru.

- Czasami warto - odparł zagadkowo.

No, skoro tak uważał...

- Usiądź, ryba już gotowa. - Wskazał mi miejsce po prawej stronie koca.

Usiadłam, czując się trochę dziwnie na myśl, że prawie nieznanemu mi facetowi, z którym jeszcze kilka godzin temu darłam koty, będzie obsługiwał mnie jak księżniczkę. Pewnie naprawdę miał moralę. No, chyba że to całe przyjęcie było dalszym ciągiem jego gry, której zasad i celu nie rozumiałam.

Bo chyba nie próbował mnie poderwać? Raz, że byliśmy dla siebie naprawdę obcy, do tego on zachowywał się dziwnie i był do bólu tajemniczy, dwa, że byłam od niego o dobre dziesięć lat młodsza. Trochę za dużo, by myśleć o randkowaniu.

Istniała jeszcze jedna opcja: seks. Facet mógł nabrać ochoty na amory, w końcu siedział tu od paru miesięcy praktycznie sam, a ja, jak by nie patrzeć, należałam do przeciwnej płci. Mógł dojść do wniosku, że zabawi się przez te dwa i pół tygodnia, jakie pozostały do powrotu moich rodziców. Cóż, jeśli chodzi o seks, to było coś, co lubię i nie wstydziałam się do tego przyznać, ale Vae w jakiś sposób płoszył mnie, a to nie nastawiało zbyt erotycznie. Po prostu nie widziałam siebie i jego w sytuacji bardziej intymnej niż ta, w której się znaleźliśmy.

- Uważaj, gorąca. I ma sporo ości, ostrzegam. - Vae położył mi na kolanach służący za talerz kawałek wygładzonego drewna. Cóż za wyszukana zastawa! Sam, z drugim okoniem, zasiadł po mojej lewej i zabrał się za rybę palcami. Widać nie przewidział używania sztućców.

Nie mając innego wyjścia, poszłam w jego ślady i spróbowałam kawałeczek przyjemnie pachnącego, białego mięsa. Było pyszne. Po prostu doskonałe, choć faktycznie nafaszerowane ościami prawie do przesady.

Idealnie dosolona ryba smakowała jakimiś nieznanymi ziołami, dzięki którym miałam wrażenie, jakbym jadła... Nie, nie umiałam określić, co przypominała. Była jak indyk, który ma wiele smaków, w zależności od tego, którą jego część się je.

Zjadłam wszystko, co nadawało się do zjedzenia, zostawiając na drewnianku jedynie kawałki płetw, głowę, kręgosłup i stertę ości.

- Smakowało? - spytał Vae. Podał mi wilgotną ściereczkę do wytarcia palców.

- Pycha. Jeśli bzykasz się tak, jak gotujesz... - zaczęłam, z przyzwyczajenia rzucając pierwszy tekst, który przyszedł mi do głowy.

Patrzył na mnie przez kilka sekund, potem parsknął śmiechem. Wciąż rechocząc, odebrał ode mnie „talerz” i wraz z resztkami ryby wrzucił do ogniska.

- Może i bzykam się tak, jak gotuję, kto wie - odezwał się wreszcie. - Musiałabyś spytać paru takich.

- Jakoś chyba nie mam ochoty robić wywiadu środowiskowego. To mogłoby dziwnie wyglądać.

- No raczej. - Podciągnął nogi i rozsiadł się tak, jak przedtem na pomoście. Typowo męska poza, z rozłożonymi szeroko kolanami i niedbale opartymi o nie rękami. Zapatrzył się w ogień.

Korzystając z okazji, przyjrzałam mu się dokładniej. Przedtem miałam go za przeciętnego, teraz zobaczyłam, że wcale taki nie jest. Miał bardzo przyjemny profil. Dopiero teraz zauważyłam, że ma zabawnie zadarty nos i lekkie wgłębienie między nim a łukami brwiowymi, nadające jego twarzy całkiem ciekawy wygląd. Oświetlone ogniskiem włosy kręciły mu się lekko nad czołem. Należały do tych „niesfornych”, układających się według własnego widzimisie. Zabawne, ale pasowały do niego właśnie takie, niegrzeczne.

Opuściłam wzrok niżej: miał długą szyję, ale na szczęście nie wyglądał jak żyrafa. Ramiona, hm, niezbyt szerokie, lecz cały był nieprzeciętnie chudy, w sumie jednak nie wyglądał na zagłodzonego czy słabego. Nie raz widziałam, że pod skórą ma niezłe mięśnie.

Miał piękne dłonie. Nieco szerokie, za to o długich palcach i wyjątkowo jak na kogoś jego pokroju zadbanych paznokciach.

- Ile? - spytał zniecierpliwiona.

- Co: ile? - Nie załapałam, o co mu chodzi.

- Ile punktów dostałem. W skali od jeden do dziesięć dobrnąłem do pięciu? - Obrócił głowę w moją stronę. W półmroku jego oczy wydawały się prawie czarne, choć tu i tam odbijały się w nich zielone ogniki. Kilka loków opadło mu na czoło. Nie, zdecydowanie nie był przeciętny, choć musiał mnie nakarmić, żebym mogła to zauważyć.

- W sumie mogę ci dać osiem, w porywach dziewięć - powtórzyłam to, co powiedział po południu na mój temat.

- Mam zamoczyć koszulę? - Zachichotał.

- No dobrze, dziewięć z tendencją wzrostową do dziesięciu - westchnęłam teatralnie. Przez jakiś czas milczeliśmy, zapatrzeni w ogień, do którego Vae co parę minut dorzucał drewna z ułożonego obok koca stosiku. Potem rozmawialiśmy, o wszystkim i o niczym, przechodząc z jednego tematu na drugi. Mówiłam o tym, jak bawiłam się jako dziecko na brzegu jeziora, udając, że jestem wyrzuconą na brzeg syrenką, on opowiadał, jak będąc chłopcem, łowił ryby bez haczyka, zawiązując nitkę wokół przynęty.

Atmosfera była... normalna. Siedzieliśmy i gadaliśmy o głupotach, śmiejąc się z większości mówionych przez nas bzdur. Ot, para znajomych, bajdurzących coś na luzie. Żadnego napięcia, żadnych podtekstów, nic.

Trochę mnie to rozczarowało, bo jednak spodziewałam się, że będzie próbował przynajmniej potrzymać mnie za rękę, ale nie, on zachowywał się boleśnie wzorowo. Pomyślałam nawet, że niezły z niego agent, doskonale znający się na kobiecej psychice: unikał mnie przez większość czasu, jaki spędziłam dotąd w domu rodziców, denerwując wtedy, gdy się widywaliśmy, i w ten sposób zwracał na siebie moją uwagę. Drażnił mnie. Wkurzał. A potem nagle zmienił się w kumpla, z którym można posiedzieć i pogadać. Na dodatek w chwili, gdy spodziewałam się, że jego zmiana jest spowodowana moim niewątpliwym urokiem, on zachowywał się obojętnie.

Czy można zaintrygować dziewczynę jeszcze bardziej? Nie sądzę.

Ognisko przygasło, ledwie nas oświetlając, za to zaczęło mi być zimno. Nie chciałam jeszcze wracać do domu, siedzenie w ciemnościach i rozmowa z towarzyszącym mi facetem przypadła mi do gustu. Nawet jeśli nie był mną zainteresowany.

Objęłam się ramionami, żałując, że nie wzięłam z sobą swetra. Bluzka może i była ładna, ale nie grzała.

- Zmarzłaś - stwierdził. - Czekał, zaraz wrócę. - Zerwał się z miejsca i znikł za moimi plecami. Usłyszałam trzask drzwi, na moment na trawie pojawiło się światło z wnętrza służbówki i szybko zgasło.

Chwilę potem poczułam okrywający mnie koc, lekki i niezbyt duży. Naciągnęłam go mocniej na ramiona.

- Dziękuję.

- Drżysz. - Vae odezwał się tuż za mną. - Pozwól.

Usiadł z tyłu, nie tak jak przedtem obok mnie, ale centralnie za mną. I objął mnie, opierając brodę o moje prawe ramię. Jego oddech łaskotał mnie w policzek.

Jezu..., pomyślałam, patrząc na jego długie nogi, widoczne po moich obu stronach.

- Ciepłej? - spytał tym swoim niskim głosem, a mnie przeszedł dreszcz. Inaczej, gdy słyszy się kogoś z odległości około metra, a inaczej, gdy mówi ci prosto do ucha.

- Tak, o wiele. Grzejesz jak piecyk.

Grzał, racja, ale mnie robiło się gorąco z innego powodu. Robiło mi się gorąco, bo ten cholerny, dojrzały samiec obejmował mnie ramionami i udami, jakbyśmy byli parą. Słyszałam jego oddech, a na plecach czułam mocne, równe bicie jego serca. I czułam jego zapach.

Kurwa, bardziej niż w tej chwili nie mógł mnie ogłupić. Nie wiedziałam, jak się zachować, nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Bałam się, że otwierając usta, palnę coś głupiego, psując cholerną, skurwysyńsko słodką atmosferę. A jednak wypadało coś powiedzieć.

Oddzieliłam w myślach tematy płytkie od poważniejszych, ale jakimś trafem wszystkie dotyczyły siedzącego za mną gościa. Zaryzykowałam. Bardzo chciałam wiedzieć, co jest grane.

- Vae?

- Hm? - mruknął, obracając się lekko w moją stronę, przez co muskał nosem mój policzek.

Przygotowane w myślach słowa uciekły: za nic nie spytam, czy to, co robi, ma jakiś cel.

- Skąd pochodzisz? - Szybko wymyśliłam inne pytanie.

- Z daleka. - Jego odpowiedź była wymijająca.

- Nie chcesz mówić, prawda? - kontynuowałam.

Przyjemnie było słyszeć go tuż przy sobie. Choć mówił cicho, jego głos nabrał dodatkowej głębi.

- Nie, dlaczego? Po prostu naprawdę pochodzę z daleka. Gdyby iść pieszo, będzie jakiś tydzień marszu. I to w prostej linii. Chyba - odpowiadał spokojnie. Nie było słyhać w jego tonie niczego, co wskazywałoby na niechęć do wybranego przeze mnie tematu.

- Ojciec mówił, że znalazł cię w lesie. To prawda? - Ciekawość zaczęła brać górę: dowiem się tyle, ile to możliwe, dopóki będzie chciał kontynuować.

- Tak. Zabłądziłem, skończył mi się prowiant i kręciłem się w kółko.

- Rozumiem. - O tak, na pewno. Zrozumiałam tylko, że szedł zamiast jak każdy jechać samochodem. - Szukałeś pracy? - spytałam, roztrząsając w myślach powód jego wędrowki. Może był biedny i nie było go stać na własny środek transportu?

- Nie, ale skoro ją dostałem, nie szedłem dalej. Dobrze mi tu, spokojnie. Mam czas na myślenie - mówił cicho. W połowie ostatniego zdania poruszył głową i dotknął ustami mojego policzka. - Przepraszam. - Wrócił do poprzedniej pozycji.

- Nic się nie stało. - Akurat, nic. Nic prócz fali gorąca, która przeszła przeze mnie jak tsunami. - Słuchaj, nie złość się, że tak pytam, ale to trochę dziwne i jak dla mnie mało przejrzyste. Pochodzisz z daleka i tak po prostu sobie szedłeś? Dokąd?

- Przed siebie.

Tą odpowiedzią jeszcze bardziej mnie zakreślił. Nic już nie rozumiałam. Po co ktoś ma iść, nie widząc w tym żadnego celu? Na dłuższy spacer? Bez sensu. Jakiś powód musiał istnieć, ale moje szare komórki za cholere nie umiały go odgadnąć.

- Musiałem opuścić dom i miejsce, w którym się urodziłem i wychowałem. - Vae odezwał się pierwszy. Albo czytał w myślach, albo siłą dedukcji doszedł do wniosku, że jego wcześniejsze wyjaśnienia były co najmniej niejasne. - Zrobiłem coś złego.

Nadstawiłam uszu: „coś złego” mogło mieć wiele znaczeń. Takich jak: obraziłem kogoś, naraziłem na coś, okradłem, skrzywdziłem.

Albo zabiłem.

Wyobraźnia podpowiadała mi idiotyczny obraz mnie samej, siedzącej w objęciach mordercy. Ponura perspektywa. Jeszcze gorzej, jeśli okazałby się prawdziwym psychopata, mającym na swoim koncie więcej niż jedną ofiarę. Czy byłam następna?

- Może kiedyś ci o sobie opowiem - mruknął niewyraźnie, trąc czołem o moje ramię. -Wyjawię ci tylko, że nikogo nie skrzywdziłem, jedynie czegoś zaniedbałem. - Wrócił do

mamrotania mi przy uchu.

Trochę mnie tym uspokoił, choć zastanawiałam się, dlaczego tak łatwo wierzę w jego słowa. Mógł kłamać, a ja nie miałam jak mu tego udowodnić. Może ten brak wnikania w szczegóły i odłożenie rozmowy na kiedy indziej był bardziej wymowny, niż gdybym miała wysłuchać całej historii od początku do końca? Czy bym w nią uwierzyła?

We wszystkim widziałam drugie dno, co wcale nie rozwiewało moich wątpliwości. Wręcz przeciwnie, mnożyły się jak króliki, w lawinowym tempie. Mógł powiedzieć, mógł nie mówić, mógł...

Drgnęłam, czując ciepły, wilgotny dotyk na szyi. Jeden, potem drugi, oba w towarzystwie gorącego oddechu. Trzeci, dłuższy, przemieszczał się w stronę twarzy, wędrując w górę.

Nie wiedziałam, jak zareagować na całkiem niespodziewane, choć bardzo przyjemne pocałunki, którymi obdarzał mnie Vae. Byłam i nie byłam na nie przygotowana. Brałam chwilę wcześniej pod uwagę podobną sytuację, ale stanąwszy z nią oko w oko, straciłam rezon.

Co mam robić? Pozwolić, biernie czekając na ciąg dalszy, czy odwrócić się i najnormalniej w świecie go pocałować?

Czego dorosły, dojrzały mężczyzna oczekiwał ze strony ledwie pełnoletniej dziewczyny?

Zdałam sobie sprawę, że swoim zachowaniem, prowokacjami, śmiesznymi z założenia uwagami, wszystkim, co robiłam od wyjazdu rodziców, pokazałam, iż nie trzeba wiele wysiłku, żeby zaciągnąć mnie do łóżka. Że byłam chętna, gotowa do przygód. I byłam, ale nie tym razem.

Śmieszne, ale po dzisiejszej wspólnej kolacji i spędzonym miło wieczorze chciałam stać się w jego oczach kimś bardziej wartościowym. Nie królewną, o którą trzeba walczyć bez końca i do znudzenia, ale dziewczyną, której się pragnie na więcej niż jedną noc.

Nie chciałam drażnić się z nim, kusić, obiecywać, a potem uciekać, nie chciałam, żeby zdobywał mnie w jakiś specjalny sposób.

Nie wiem, czego chciałam.

- Wybacz, trochę się zagalopowałem. - Puścił mnie i wstał. Albo myśleliśmy w ten sam sposób, albo facet naprawdę był telepatą. - Chodź, odprowadzę cię do domu, Yas-mine.

Podał mi rękę, pomagając się podnieść. Nogi trzęsły mi się jak nowo narodzonemu żrebakowi.

- Nie lubię, gdy dzielisz tak moje imię. - Zdjęłam z pleców koc. - Dziwnie mi, gdy ktoś określa mnie mianem „kopalni”. Przecież nie jestem czarna.

- Widziałaś kiedyś bryłki węgla, leżące długo w palenisku? - spytał.

- Nie, a powinnam?

- Ja widziałem. Z wierzchu są ciemne, prawie czarne, ale w środku żarzą się, gotowe rozbłysnąć ogniem przy pierwszej sprzyjającej okazji. Pozostawione zbyt długo same sobie gasną. Ale gdy położysz na nich suchy mech lub drewienka, rozpalą się jasnym płomieniem. - Stanęliśmy przed drzwiami domu.

- To była najdziwniejsza przemowa, jaką dziś usłyszałam - przyznałam po chwili. Nie łapałam sensu tego, co powiedział. -

Co to ma wspólnego ze mną?

- Zauważyłem, że twoje oczy są właśnie takie. Płonie w nich wewnętrzny ogień. - Pochylił się i pocałował mnie w policzek. - Dobranoc.

Znikł w mroku, zanim się odezwał. Stałam i stałam, czekając, aż w jego domku zaświeci się światło, wreszcie zrezygnowałam, widząc tylko ciemność.

Boże...

Poszłam na górę, z setką myśli kłębiących się pod czaszką. Byłam równocześnie oczarowana i rozczarowana, zadowolona i pewna, że to wszystko nie miało większego znaczenia.

Przebrałam się w dresy i usiadłam przed komputerem, gapiąc się bezmyślnie w zaciemniony monitor.

Podśpiewując pod nosem, wsypałam do dwóch kubków po łyżeczce rozpuszczalnej kawy.

Czekając, aż woda w czajniku zacznie wrzeć, podeszłam do okna, rozglądając się po okolicy. Zanosiło się na to, że dzień będzie należał do najładniejszych tego lata.

Słońce przygrzewało, ale nie rozpalało powietrza, woda na jeziorze lśniła, marszcząc się pod wpływem lekkiego wiatru.

Życ nie umierać.

Zaplanowałam sobie dokładnie każde dzisiejsze zajęcie. Najpierw kawa, wypita koniecznie na leżaku pod drzewem, potem godzinka czy dwie w ogródku (matka zabiłaby mnie, gdybym pozwoliła chwastom zarosnąć jej rabaty z kwiatami). Następnie obiad, potem błogi relaks, pływanie, kolacja i...

Tu moje plany kończyły się wielką niewiadomą. Nie miałam pojęcia, jak zakończy się mój wieczór. Może znów, jak wczoraj, zasiądziemy z Vae przy ognisku, rozmawiając o wszystkim i o niczym? Mówiąc, że towarzystwo Pana Zagadki jest dla mnie niemiłe, skłamałabym jak nic.

Od wczoraj jego towarzystwo stało się bardzo przeze mnie pożądane. Tak bardzo, że właśnie zalewałam dla niego kawę, nawet nie pytając wcześniej, czy ma na nią ochotę.

Odstawiłam czajnik i zajrzałam do lodówki w poszukiwaniu kartonu z mlekiem. Nie było go ani na drzwiach, ani na półkach, choć przysięgłabym, że stał jeszcze wczoraj, pełen przynajmniej w połowie. Zerknęłam do kosza na śmieci: no tak, zgnieciony karton leżał pod skorupkami jajek. Tyle, że nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy wyjmowałam go z lodówki. Czyżbym zaczęła mieć zaniki pamięci? No to kiszka. Nie wypiję kawy bez mleka i koniec. Dla mnie zawsze musiała być zmieszana z nim pół na pół, inaczej nie umiałam jej przełknąć.

Stałam na środku kuchni, nie wiedząc, co zrobić. Zaparzyć sobie herbaty? Nie przepadałam za nią.

A co, jeśli Vae też pija kawę z mlekiem? Myśl przeleciała mi przez głowę jak meteor, roztrącając wszystkie inne.

Wylałam kawę do zlewu: cóż, moje plany muszą ulec zmianie, zamiast pielenia czeka mnie wyprawa do sklepu.

Przebrałam się: w domu mogłam nie przejmować się swoim wyglądem, ale jadąc do miasteczka, musiałam pasować do piękna Cukiereczka. Nałożyłam wiązaną pod biustem różową bluzeczkę bez rękawów, białe szorty i sandały na

średnim obcasie. Włosy upięłam z tyłu głowy w fantazyjny węzeł.

Wyprowadziłam wóz z garażu i poszłam pozamykać drzwi. Nie byłam zaskoczona, gdy wróciwszy, zastałam Pana Nieprzeciętnego, opartego niedbale o maskę Cukiereczka.

- No cześć - rzuciłam z uśmiechem, pospiesznie obejmując wzrokiem ubraną w same spodnie postać.

- Bry! - odparł. - Wybierasz się gdzieś?

- Jadę kupić parę rzeczy, nie będzie mnie jakieś dwie godzinki.

- W takim stroju? - Uniósł brwi. - Wyglądasz, jakbyś miała zamiar... - Urwał, nie kończąc.

- Jakbym miała zamiar co, lecieć na podryw? - parsknęłam. - Weź mnie nie rozśmieszaj. - Sięgnęłam do stacyjki.

- Chwilka. - Podeszedł od mojej strony i wyjął mi kluczyki z dłoni. - Pojadę z tobą, tylko ubiorę coś stosownego.

- Jaja sobie robisz? - Sięgnęłam, chcąc odebrać swoją własność, ale ukrył rękę za plecami.

- Nie muszę, mam. - Ruszył wzdłuż podjazdu.

- To jakieś żarty? - krzyknęłam za nim, naprawdę zaskoczona.

- Wyglądam, jakbym żartował? - odkrzyknął, znikając za rogiem budynku.

- No kurwa, co to miało być? - spytałam sama siebie.

Facet zachował się całkowicie dla mnie niezrozumiale. O co mu chodziło z moim strojem? Za bardzo seksy? Zbyt wyzywający jak na jego gust? A co go to obchodziło, przecież

ślubu z nim nie mam. Jedna wspólna kolacja nie upoważnia go do czepiania się mnie i tego, jak się ubieram. Chyba że w jego mniemaniu po jednym spędzonym razem wieczorze ma do mnie jakieś prawa.

Wcale mi się to nie uśmiechało mimo sympatii, jaką do niego poczułam. Mógł być przystojny, mógł być tajemniczy, mógł nawet pociągać mnie na swój sposób, ale – do cholery – to do niczego mnie nie zobowiązuje.

Czekałam, stukając nerwowo palcami w kierownicę. Czekałam... czekałam...

Bęc! Kluczyki spadły mi na kolana, a Pan Humorzasty usadził dupę w fotelu pasażera.

- Możesz zdradzić, o co ci chodzi? – Ruszyłam, nawet na niego nie patrząc.

- Mogę powiedzieć, ale nie zdradzić.

- Więc? – Czekałam, co powie. Jechaliśmy powoli w stronę głównej drogi, na zmianę w jasnych plamach promieni słońca, padających między gałęziami, lub ukryci w cieniu drzew. Ciągłe migotanie światła męczyło oczy: sięgnęłam do schowka i nałożyłam okulary przeciwsłoneczne.

- Mam ochotę na przejażdżkę, co w tym złego?

- Nie o to pytałam. Chodzi o mój strój.

- Jest bardzo ładny – usłyszałam.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Dziesięć minut temu był nim oburzony, a teraz nagle mu się spodobał?

- Wiesz co, trudno mi się z tobą rozmawia – skwitowałam, nie chcąc zagłębiać się dalej w temat. Miałam wrażenie, że przy każdej następnej odpowiedzi będę jeszcze bardziej

ogłupiała.

- Wiem. Pewnie przez to, że mam dziwny akcent - odparł z uśmiechem.

Rozbroił mnie tym stwierdzeniem. Po prostu nie mogłam dłużej się na niego gniewać.

- Tak, chyba przez ten akcent. - Śmiejąc się, ścisnęłam go za chude kolano. - Zepnij poślady, mój drogi, zaraz będzie ostro - ostrzegłam go przez wjazd na szosę.

Skręciłam w lewo, w stronę, gdzie leżało najbliższe miasteczko. Stąd, z dojazdówki, mieliśmy do niego jakieś pół godziny jazdy, ale Cukierczkiem pokonywałam dystans w dwadzieścia minut.

Szeroka, gładka dwupasmówka wiodła przez lasy. Prawie na całej długości miałam prostą, więc mogłam bez obaw docisnąć pedał gazu. Tym bardziej że znałam drogę jak własną kieszeń.

Ryk silnika Chevy`ego zagłuszył świergot ptaków, wiatr zza przedniej szyby targał nam włosy, a my gnaliśmy przed siebie, zwalniając jedynie przed łagodnymi zakrętami.

Byłam w swoim żywiole: wolna, beztroska; trzymając w dłoniach kierownicę Cukierczka, mogłam jechać bez końca. Mogłam objechać świat dookoła, nie odzywając się słowem. Brakowało mi tylko...

Zwolniłam i włączyłam odtwarzacz, wybierając zapętlone odtwarzanie jednego utworu.

„Loose you tonight - Caravan Version” HIM. Podkreśliłam głośniki i wsłuchałam się w brzmienie głosu wokalisty.

Praktycznie wszystko poza mną, Cukierczkiem i grającą

głośno muzyką przestało istnieć. Choć zwracałam uwagę na drogę, robiłam to bardziej instynktownie niż z rozmysłem. Byłam w innym, własnym świecie. Tu nie obowiązywały żadne prawa prócz tych ustalonych przeze mnie

Zapomniałam nawet o siedzącym obok mężczyźnie. Nie pamiętałam o nim do chwili, gdy poczułam, jak gładzi moje odsłonięte udo.

Wyrwana z rozmyślań, zwolniłam do osiemdziesięciu na godzinę. Zerknęłam w prawo: patrzył na mnie z zagadkowym wyrazem twarzy, jeżdżąc dłonią w górę i w dół mojej nogi.

- Coś się stało? - spytałam.

- Nie. - Mimo włączonej głośno muzyki usłyszałam go bardzo dobrze. - Dopiero teraz poczułaś...

- Odplynęłam. Zawsze odplywam w podobnych chwilach. - Wyłączyłam odtwarzacz: las przerzedził się, stopniowo ustępując miejsca pierwszym zabudowaniom.

Kilka minut później wjechaliśmy do miasteczka. Nie było zbyt okazałe: niecałe dwa tysiące mieszkańców, kilkanaście ulic i uliczek, jedna poczta.

Żłobek, przedszkole, szkoła podstawowa, liceum. Czyli jednym zdaniem: cała moja kariera uczennicy rozpoczęta i zakończona właśnie tutaj.

Zatrzymałam wóz przed jedynym tu marketem.

- Idę po mleko.

- Przyjechaliśmy tu po mleko? - Vae wyskoczył na parking, nawet nie otwierając drzwi.

- Do kawy. Skończyło się. - Przewiesiłam przez ramię paski torebki. - Nie napiję się bez. - Nie czekając na niego,

ruszyłam do środka, machając ręką kilku znajomym, stojącym pod budką z hot-dogami.

- Strasznie jesteś wypieszczona. - Vae dogonił mnie przed drzwiami.

- Czyli?

- Czyli marudzisz.

Weszliśmy do środka. Nie było zbyt wielu klientów, ledwie kilka osób krążyło między regałami. Głównie matki z dziećmi i starsze kobiety.

Wzięłam kosz, po czym bez większego namysłu wcisnęłam go swojemu towarzyszowi.

- Ty pchaj. Od tego jesteś - rzuciłam dwuznacznie. Już miałam sięgnąć na półkę po kilka opakowań popcornu, gdy coś zwróciło moją uwagę. Coś, co zamajaczyło mi na plecach czarnej koszulki Vae.

Cofnęłam się o krok.

„PIEPRZE JAK BESTIA”.

To tyle, jeśli chodzi o strój Vae. Widoczny chyba z kosmosu napis nie mógł być bardziej wymowny.

- Hej, mądralo, co to jest? - Wbiłam mu palec w środek kręgosłupa. - Powiedziałaś, że ubierzesz coś stosownego.

- I tak właśnie zrobiłem. Spójrz na siebie, dodaj mnie... - Mówiąc, oglądał półki z płatkami kukurydzianymi. Wrzucił do kosza pięć opakowań z lukrowanymi i dopiero wtedy łaskawie zwrócił na mnie uwagę. - Masz z tym jakiś problem? Ledwie chwilę temu sama stwierdziłaś, że ja tu jestem od pchania. Dla mnie sens tego, co chciałaś przekazać, był jasny, więc nie udawaj teraz oburzonej o to, że w pewnej części zachowuję

się na twój sposób. Czuj się, jakbyś patrzyła w lustro, może nie dosłownie, ale odzwierciedlające twoją osobę. Twoje wnętrze – powiedział cicho.

- Próbujesz mnie pouczać? – Uniosłam lekceważąco brew.

- Nie. Dostosowuję się do ciebie, to wszystko. – Dołożył do kosza trzy opakowania płatków z miodem i orzeszkami.

- Do mnie? Po co?

- Próbuję zrozumieć pewne rzeczy... Słuchaj, czy musimy rozmawiać o tym tu i teraz? Nakręcasz się. Jeszcze chwila i zaczniesz być przesadnie złośliwa. Jeśli musisz, dogryzaj mi tam, gdzie nie ma publiki. Chyba że obecność innych dodaje ci pewności siebie. Ale pamiętaj, ja też potrafię być przykry. – Pogroził mi palcem.

- Dobrze, porozmawiamy później. – Ruszyłam w stronę chłodni z nabiałem.

Z wypakowanym prawie po brzegi koszem stanęliśmy w trzysobowej kolejce do kasy. Choć nikt się do nas nie odezwał, wiedziałam, że obserwują mnie i mojego partnera i nadstawiają uszu na każde wypowiedziane przez nas słowo. Samo to, że pokazałam się w towarzystwie obcego faceta, w dodatku noszącego na sobie reklamę własnych umiejętności, stawało się dla znudzonych codziennością ludzi świetnym tematem do plotek.

- Przesunie się pan? Potrzebuję dostać się do gum. – Jakaś nastolatka za nami próbowała dosięgnąć stojaka z Wrigley'sami, ale mój towarzysz stał jej na drodze.

- Jasne, mała – mruknął, przysuwając się do mnie.

Przyłgnął do moich pleców. I został, choć dziewczyna,

zabrawszy dwa opakowania drażetek, poszła gdzieś między regały.

Udając obojętną, przyglądałam się, jak kasjerka przesuwa nad czytnikiem towary pierwszej w kolejce osoby. Powoli, bez pośpiechu. No kurwa, przed nami jeszcze kilku innych klientów, a tej się nie spieszy.

- Spokojnie. - Szept klejącego się do mnie faceta brzmiał jak ostrzeżenie.

- Nie mam zamiaru stać tu godzinę - burknęłam.

Położył mi dłoń na odsłoniętym brzuchu wysoko nad pępkiem. Z zaskoczenia zamarłam, równocześnie nabierając w płuca powietrza. Spojrzałam przez ramię, w oczach mając wypisane nieme pytanie.

„CO JEST?”.

Wzruszył ramionami.

„Nic”.

Czułam, jak gładzi kciukiem moją skórę. Poruszał nim w dół i w górę, sięgając pod moją bluzkę. Nie miałam stanika, więc dotykał od spodu mojej piersi. Czasem przesuwał nim dalej, za każdym razem wyżej, aż sięgnął do napiętej od tego wszystkiego brodawki.

Miałam nadzieję, że nikt nie patrzył na nas w tamtym momencie, bo musiałam mieć naprawdę dziwną minę. Staliśmy w kolejce do kasy, przed sobą mając trzy, a z tyłu dwie osoby, a on zataczał kciukiem koła, skoncentrowany na tym jednym miejscu. Obłąd, ale sprawiało mi to przyjemność. Nie sam gest, choć to, co robił, robił naprawdę dobrze. Świadomość okoliczności, w jakich mnie dotykał, podniecała.

Z trudem udawało mi się utrzymać spokojny oddech i obojętną pozę. Miałam szczerą chęć chwycić go za dłoń i przycisnąć ją do całej piersi. A potem niżej, do szortów.

Kolejka przed nami ruszyła, przesuwając się o długość wózka na zakupy. Nie ruszałam się.

- Hej, znów odpływasz myślami? - Vae zabrał rękę i popchnął mnie lekko w plecy.

Zrobiłam trzy kroki jak automat, w myślach już tęskniąc za jego dotykiem, ale nie przysunął się już ani nie objął mnie jak chwilę wcześniej. Roztrzęsiona w środku, ale pozornie niewzruszona na zewnątrz, bez jednego słowa doczekałam na naszą kolej przy kasie.

Vae rozdzielił zakupy: najpierw ustawił na taśmie to, co moje, potem to, co wybrał dla siebie.

Zapłaciłam i stałam z kartą kredytową w dłoni, aż jego towar wyląduje na powrót w koszu.

- Mam pieniądze - szepnął, pochylając się do mnie. - Zawsze płacę sam za siebie, kotku.

Wyjął z kieszeni zwitek banknotów. Spory zwitek i to nie niskich nominałów, jak zauważyłam po chwili.

Skąd miał tyle kasy?

- Widzę, że mój tatko ci nie żałuje - stwierdziłam, gdy wyszliśmy na parking.

- Słyszałaś może o czymś takim jak oszczędzanie? - Vae podparł się pod boki. Puszczony wolno wózek, wypakowany zakupami, pojechał przed siebie.

- Patrz, co robisz, dupku. - Dogoniłam uciekający kosz, zanim uderzył w bok cudzego samochodu.

- Twój ojciec płaci mi tyle, ile uważa, ale ja nie wydaję pieniędzy na głupoty. - Vae odebrał kosz i pchnął go pod bagażnik Cukiereczka. - Otwórz.

- Osiem paczek dosładzanych płatków, zgrzewka mleka, trzy torebki cukru i w chuj innych pierdół to nie jest głupota? - rzuciłam zaczepnie, wyliczając mu część zakupów.

- Może mam cukrzycę? - Ładował nasze zakupy pozornie bez ładu, ale widziałam, że swoje ustawia po lewej, moje po prawej stronie.

- A masz? - zainteresowałam się żywo.

- Nie. Mam szybką przemianę materii i potrzebuję sporo paliwa. - Vae zatrzasnął bagażnik. - Odprowadzę wózek.

Patrzyłam, jak idzie długim krokiem, lekko kołysząc się na boki, jedną ręką popychając przed sobą kosz. Patrzyłam i zastanawiałam się, dlaczego jest taki zmienny.

Przez dwa tygodnie trzymał się na dystans, a jeśli już zdarzyło nam się rozmawiać, bardziej przypominało to słowne zapasy niż zwykły dialog dwóch osób.

Choć zaczął podobać mi się jako mężczyzna, nadal nie umiałam powiedzieć, czy go lubię. I tak, i nie. Lubiałam go, gdy był dla mnie miły, gdy odzywał się tak, jak powinien moim zdaniem, gdy siedział lub stał przytulony do moich pleców.

Denerwował mnie, gdy tego nie robił.

- Yasmine? - Usłyszałam czyjś głos zza pleców.

Obejrzałam się, ciekawa jego właściciela.

- Rudy? - Otworzyłam szerzej oczy, widząc przed sobą znajomego z liceum. - No kurwa, to naprawdę ty?

Obrzuciłam go wzrokiem: w ciągu trzech lat, kiedy to nie

widzieliśmy się ani razu, zmienił się niewiele. Jak kiedyś miał rozjaśniane, przycięte „na jeża” włosy, jak kiedyś ubierał się w jasne, markowe ciuchy. Tylko jego twarz nosiła na sobie piętno czasu. Może wyglądał na starszego niż był, ale błękitne oczy nie straciły swojego dawnego blasku. Choć był ode mnie o dwa lata starszy, znaliśmy się od zawsze. Nasze matki były najlepszymi przyjaciółkami.

- Myślałem, że zapomniałaś o nas na amen. Ślicznie wyglądasz. - Wyciągnął do mnie ramiona.

Wpadłam w nie, szczęśliwa ze spotkania.

- Ja miałabym zapomnieć? - Odsunęłam się, patrząc na niego. - Mów, co tam u ciebie.

- Ano, bez zmian. - Podrapał się po brodzie. - Poza tym, że zaliczyłem studia prawnicze i jestem teraz młodszym wspólnikiem. - Uśmiechnął się, prezentując dołeczki w policzkach. -A u ciebie?

U mnie? Co miałam mu powiedzieć? Że od lat nie robiłam nic poza obijaniem się? Że po ukończeniu liceum straciłam ochotę na dalszą edukację, nie widząc w tym swojej przyszłości? I tak pewnie wiedział, że kilka razy zaczynałam studia i rzucałam je równie szybko.

- Słuchaj, organizuję dziś imprezę. Będzie sporo znajomych osób. Wpadniesz? Wiem, że lubisz się zabawić...

- O której? - Oczy rozbłysły mi na samą myśl o wyrwaniu się z domu.

- O ósmej. Wiesz, jak dawniej: muzyka, od groma piwa i...

- Nie. - Głosowi rozlegającemu się znad mojego ucha towarzyszyła położona na moim ramieniu dłoń. - Yas nie

pójdzie na żadną imprezę.

- Nie pójdę? - Obejrzałam się za siebie. Vae, z miną kogoś, kto wdepnął w gówno, mierzył Rudego niechętnym wzrokiem.

- Nie, nie pójdziesz. - Objął mnie ramieniem. - Wybacz, chłopcze, ale Yas nie skorzysta z twojego zaproszenia. Mamy na dziś inne plany. - Pochylił się do mnie. - Chyba czas wracać do domu, mała? - powiedział.

- No, to ja nie będę przeszkadzał. - Rudy z ociąganiem ruszył w swoją stronę.

- Co ty odpierdalasz? - Wyrwałam się z objęć Vae. - Prosił cię ktoś, żebyś się wtrącał? - Zakręciłam się w miejscu, wściekła jak stado os. - Robisz za mojego anioła stróża czy co?

- Powiedzmy, że tak. - Wsiadł do samochodu. - Jedziemy?

Miałam ochotę kazać mu wysiąść i wracać do domu pieszo, ale ze sklepu wyszła grupka obarczonych dziećmi kobiet. Prawdziwy klub mamusiek. Nie uśmiechało mi się robienie scen pod okiem tutejszych plotkar.

- Masz szczęście, że one tu są, inaczej zapierdalałbyś stąd na własnych nogach - warknęłam w stronę Vae, ruszając z parkingu z piskiem opon.

- Nie będę zaprzeczał. Mam szczęście.

- A na imprezę i tak pójdę - dodałam po chwili.

- Nie pójdziesz.

Spokojna, pewna siebie odpowiedź Vae doprowadziła mnie do wrzenia. Ścisnęłam dłońmi kierownicę tak mocno, że zaboląło.

- Niby dlaczego? - spytałam zaczepnie, mijając ostatnie zabudowania. Za miasteczkiem od razu docisnęłam pedał gazu, rozpędzając Chevy'ego do stu dwudziestu na godzinę.

- Dlatego że ja tak mówię. - Tym razem słowa siedzącego obok faceta brzmiały bardziej stanowczo. - Dlatego że obiecałem twoim rodzicom mieć cię na oku i nie pozwolę, żebyś latała z półgółą dupą na kurewskie zjazdy.

Zwolniłam, nie wierząc w to, co słyszę. OBIECAŁ mieć mnie na oku? A co ja jestem, jakaś niedorozwinięta umysłowo ściera, która przy byle okazji daje dupy każdemu chętnemu?

Jechałam coraz wolniej, wreszcie zatrzymałam się na poboczu przy pobliskiej stadninie koni.

Obróciłam się w stronę Vae. Nie patrzył na mnie. Spoglądał na biegające po ogrodzonej łące zwierzęta.

- Chcesz mi coś zasugerować? - spytałam.

- Ja? - zdziwił się uprzejmie.

- Nie, kurwa, Matka Boska. - Prawie na niego krzyknęłam, wściekła jak mała kiedy. - Wmawiasz mi, że moi starzy mają mnie za...

- Nie wiem, za kogo cię mają - przerwał mi w pół zdania. - Ale nie chcę, żebyś balowała z tymi naćpanymi idiotami. Masz na sumieniu coś z przeszłości, że tak się o ciebie boją?

- Nie mam! - Teraz naprawdę podniosłam głos. Skłamałam. Nieraz, będąc na wsi sama, urywałam się na imprezy u znajomych, zostawiając dom bez opieki na cały weekend.

Do dziś nie pamiętałam dokładnie, co wtedy wyprawiałam. Ile razy próbowałam przypomnieć sobie tamte wydarzenia,

miałam przed oczami tylko niewielkie fragmenty tego, co robiłam. Tańczyłam, piłam, pieprzyłam się z kimś...

Wiem tylko, że po wszystkim miałam straszego morała. Aż do następnego razu, gdy ktoś znów zadzwonił i powiedział: „Yasmine, urządzam imprezę”.

Zapewne rodzice dowiedzieli się o wszystkim, co chciałam przed nimi ukryć, stąd pomysł ojca, by jego pupilek zabawił się w przyzwoitkę.

Patrzyłam na siedzącego jakby nigdy nic Vae. Cały czas gapił się gdzieś indziej, ani razu nie patrząc w moją stronę. Jeszcze wczoraj spędziłam z nim cudowny wieczór, mając potem nadzieję, że po tak miłym spotkaniu będzie coś więcej. Dziś dotykał mnie, doprowadzając do obłędu, a teraz mówił mi, że robił to wszystko, bo miał mnie pilnować?

- Pierdol się - syknęłam. - Nie wiedziałam, że jesteś taką szują. - Sięgnęłam nad nim, otwierając drzwiczki po jego stronie. - Wsiadaj.

Spojrzał na mnie. Oczy miał ciemniejsze niż zwykle.

- Nie. - Zatrzasnął drzwi.

- Wsiadaj. Kup sobie własną brykę za pieniądze, które dostajesz za pilnowanie mojego tyłka. - Wskazałam mu pobocze.

Siedział, niewzruszony, patrząc gdzieś przed siebie.

Obejrzałam się w tył: droga za nami była pusta. Wsiadłam, obeszałam wóz, otworzyłam drzwiczki i złapałam Vae za ramię.

- Wyłaź. - Ciągnęłam go na zewnątrz, napakowana adrenaliną po same pachy. W tej chwili byłam gotowa urwać

mu łeb, byle pozbyć się go z samochodu.

- Jesteś tego pewna?

- Jestem, jak niczego w życiu, kurwa. - Znów go szarpnęłam, rozrywając szwy na rękawie jego koszulki.

- Dobrze. - Podniósł się.

Cofnęłam się o krok, robiąc mu miejsce. Gdy tylko znalazł się na poboczu, odepchnęłam go na bok. Lub, dla ścisłości, próbowałam odepchnąć, bo stał w miejscu jak przyrośnięty, nie pozwalając mi zamknąć drzwi wozu.

- Posłuchaj mnie teraz, głupia dziewczynko - powiedział cicho. - Posłuchaj, bo drugi raz nie będę tego powtarzał. - Złapał mnie za ramię.

- Nie mam zamia... - Szarpnęłam się w tył.

- Masz. - Wzmocnił uścisk, nie pozwalając mi odsunąć się nawet na milimetr. - Nikt nie płaci mi za pilnowanie ciebie. Robię to, bo szanuję twojego ojca. Pomógł mi, a teraz ja odwdzięczam się jemu, choć tobie może się to nie podobać. A teraz najważniejsze: nawet gdyby nikt mnie nie prosił, sam nie chciałbym, żebyś szła na tę pieprzoną imprezę. A to dlatego że cię polubiłem. I dlatego że mi się podobasz, a to kłóci się we mnie z wizją tego, że ktoś wykorzysta twoją naiwność i zrobi z ciebie szmatę. - Puścił moje ramię i odsunął się od Chevy'ego. - Jesteś dorosła. Jesteś samodzielna. Masz dwie opcje, dwa przeciwległe bieguny. Na jednym jesteś ty i dziwkarska impreza, na drugim ty i ja. Sama wybierz, co jest dla ciebie ważniejsze. - Obrócił się bokiem, patrząc na pustą drogę.

Gapiałam się na niego. Nie wierzyłam w to, co powiedział.

Po prostu nie wierzyłam. A nawet gdybym uwierzyła, to nie rozumiałam. Nie chciałam zrozumieć...

Rozejrzałam się, szukając czegoś, co dałoby mi jakikolwiek znak, zatrzymując wzrok na parze łaciatych koni, krążących tam i z powrotem przy ogrodzeniu.

Co mam robić?

Kochałam swoją wolność i prawo do decydowania o sobie i swoich poczynaniach. Ale kuśiło mnie sprawdzić, jakim mężczyzną był Vae. To, że jest stanowczy, już wiedziałam. Że jest dziwny, milczący i tajemniczy, że ma swoje sekrety. Jego wypowiedź sprzed kilku minut była najdłuższą, jaką słyszałam z jego ust. Odkąd go znałam, ograniczał się do krótkich komunikatów, równie krótkich odpowiedzi i niewiele dłuższych zdań, którymi mnie uraczył przy wspólnej kolacji.

Czy jego wylewność sprzed paru minut coś znaczyła?

Analizując własne myśli, wodziłam wzrokiem za uganiamymi się za ogrodzeniem końmi.

Mogłam olać to, co mówił Vae, i iść własną drogą. Za dwa tygodnie i tak wrócę do siebie, zostawiając za sobą wszystko, co przeżyłam tego lata w rodzinnym domu. Mogłam puścić w niepamięć całą znajomość z tym cholernym dupkiem i...

I do końca życia żałować, że nie przyjąłam jego jawnej propozycji.

Westchnęłam cicho. Wcześniej zamysłona, teraz odzyskałam ostrość widzenia, z miejsca zdając sobie sprawę, co dzieje się za ogrodzeniem.

To, co brałam wcześniej za pozbawione sensu bieganie pary koni, okazało się ich zalotami. Stałam, patrząc na nie

i nie widząc do tej pory tego, co się dzieje. A teraz miałam przed oczami parę kopulujących zwierząt, a dwa kroki ode mnie stał facet, który mi się podobał. Facet, który powiedział, że może być mój.

On też wpatrywał się w to, co działo się na łące.

Obeszłam wóz i usiadłam za kierownicą.

- Wsiadaj - powiedziałam. - Szybko, zanim się rozmyślę.

Patrzyłam przed siebie, ale kątem oka widziałam, jak usadawia się na fotelu po prawej i słyszałam cicho zatraskujące się drzwi.

Przez całą drogę do domu nie odzywaliśmy się słowem. Jechałam, przekraczając dozwoloną prędkość o dobre trzydzieści kilometrów.

Spieszyłam się. Chciałam dostać to, czego potrzebowałam. Chciałam to mieć jak najszybciej. Właśnie od niego, chudego dupka, który uważał, że pozjadał wszystkie rozumy.

Nie zatrzymałam się na podjeździe, wprowadziłam Chevy'ego od razu do garażu.

- Gdzie? - spytałam, wysiadając. Ręce trzęsły mi się ze zdenerwowania i podniecenia.

- Tutaj. - Vae stanął przed maską Cukiereczka.

- Tutaj? W garażu?

- Tak. - Złapał mnie wpół i przyciągnął do siebie, patrząc z ogniem w oczach. - Widziałaś...? - Nie dokończył pytania, nie musiał. Ciągle miałam przed oczami dosiadającego klacz ogiera i to, co robił.

- Widziałam - szepnęłam, ledwie panując nad chęcią

zerwania z Vae spodni.

Chciałam go pocałować, ale odsunął się o krok, uśmiechając się przekornie.

- Nie. - Pokręcił głową. - Później, malutka, teraz...

Pociągnął za węzeł mojej bluzki: powoli odchylił ją i zsunął mi z ramion, potem rzucił na maskę Chevy'ego. Przez chwilę tylko patrzył, potem chwycił dłońmi moje piersi od spodu i uniósł je odrobinę, jakby sprawdzał ich wagę.

- Mhm, ciężkie. Uwielbiam takie - mruknął, pochylił się i pocałował prawą, potem lewą.

- Ciężkie? - To określenie kojarzyło mi się z wiszącymi nad pępkiem wielkimi cycami, moje zaś w ogóle nie robiły sobie nic z grawitacji. Ale pies z tym, może facet miał na myśli to, że nie były małe?

- Odwróć się. - Puścił mnie i trącił delikatnie w ramię. Miał to specjalne, pociemniałe spojrzenie, powodujące u mnie dreszcze. Uwielbiałam, gdy facet patrzył na mnie w taki właśnie sposób, jakbym była w tej chwili jedyną osobą na świecie, którą zauważa. Posłuchałam: odwracając się powoli, widziałam, jak zdejmuje koszulkę i rzuca ją na ziemię. Miałam chęć dotknąć jego gładkiej skóry, poczuć pod palcami każdy mięsień, najmniejsze włókienko, i przekonać się o ich twardości i sile. Ale zamiast tego stanęłam twarzą do samochodu, czekając na to, co zamierzał zrobić mój kochanek.

Słowo wybuchło mi w głowie fajerwerkiem. W jednej chwili zdałam sobie sprawę, że lada moment mężczyzna, o którym wcześniej nie myślałam inaczej jak „dupek”, będzie mnie pieprzył. I że bardzo tego chciałam.

Czułam, jak podchodzi bliżej: objął mnie rękami, sięgając dłońmi do zapięcia szortów. Materiał zsuwał się w dół, laskocząc mnie w uda. Nie miałam na sobie majtek.

Wyszłam jedną nogą z leżących mi na stopach spodenek, drugą kopnęłam je w bok, wysyłając gdzieś pod ścianę, i stanęłam jak posąg, mając na sobie tylko sandały. Oddychałam ciężko, przygotowana na wszystko, podniecona, trzęsąc się wewnątrz z niecierpliwości. Przez otwarty wjazd do garażu widziałam jasne podwórze i migotanie wody na jeziorze, ale w uszach miałam tylko szum własnej krwi i szybkie, mocne uderzenia serca.

- Pochyl się. - Przez dźwięki przebił się niski, zmysłowy głos, rozlegający się tuż za mną. I jeszcze coś: brzęk klamry paska, szmer materiału, szelest... folii?

Posłusznie zgięłam się w pół, opierając dłonie o maskę samochodu. Poprawiłam się, stając na lekko rozchyłonych nogach.

Coś małego przeleciało mi koło głowy i upadło, leżąc na masce przed moimi oczami. Patrzyłam jak zahipnotyzowana na rozdarte opakowanie po prezerwatywie. Napis na nim sprawił, że zaczęłam oddychać szybciej. Contex Extra Large. Najpiękniejsze trzy słowa, jakie zdarzyło mi się przeczytać w ciągu całego życia.

Trzęsąc się już nie tylko w środku, czekałam, spodziewając się dotyku silnych dłoni na biodrach, ale czekałam na darmo. Choć słyszałam za sobą ciężki oddech Vae, nie dotknął mnie, wprawiając w coraz większy niepokój. Nie wiedziałam już, co zamierza i czy nie się rozmyślił... Może

ma kłopoty z erekcją albo lateksowym odzieniem rozmiaru XXL?

Chciałam obejrzeć się za siebie i sprawdzić, w czym problem, ale w chwili gdy ruszyłam głową, facet wbił się we mnie jednym, ostrym pchnięciem. Wycofał się i wrócił równie agresywnie. Jeszcze raz, jeszcze... Miarowe, mocne pchnięcia, utrzymywane w jednakowym tempie. Choć był duży, nie czułam bólu, ale przyjemność.

Nadal mnie nie dotykał, przez co miałam wrażenie, że penetrujący mnie organ unosi się w powietrzu, należąc do ducha lub zaprogramowanej dobrze maszyny. Niesamowitość odczucia jeszcze bardziej mnie podnieciła. Prosiłam, żeby mnie pieprzył i nie przestawał tego robić. Z zamkniętymi oczami, oparta o maskę wozu wyginałam kręgosłup i wypinałam tyłek, chcąc poczuć twardego kutasa jeszcze mocniej i jeszcze głębiej. Byłam blisko, jeszcze kilka ruchów, kilka pchnięć i będę miała orgazm.

Wtedy zatrzymał się bez uprzedzenia. Nie czułam, żeby skończył, więc...?

- Nie tak szybko, mała. - Vae pochylił się w przód i przylgnął do moich pleców. Był rozgrzany i spocony nie mniej niż ja i na szczęście nadal twardy jak kamień.

Cudownie było poczuć go wreszcie tak blisko, ani trochę nie żałowałam utraty poprzedniego wrażenia, że jestem w garażu sama.

Pocałował mnie w ramię, kark, lizał moją skórę, ale nadal się nie poruszał, więc zrobiłam to za niego. Zakolysałam biodrami w tył i w przód, znów w tył.

- Mhmm, mocniej, dziewczynko - mruknął, prostując się. Dłonie oparł mi na plecach. - Mocniej, mała, doprowadź mnie do końca. - Chwycił mnie w pasie i kierował moimi ruchami, samemu tkwiąc jak słup z wypchniętymi w przód biodrami.

To było jeszcze lepsze niż przedtem, gdy nie dotykał mnie i milczał. Praktycznie ja teraz rznąłam jego, jeśli można określić tak to, co się działo, lub też on dogadzał sobie mną, traktując jak seksmanekina.

Było mi cholernie dobrze, cholernie inaczej i nie krępowałam się niczego, nawet kilku wystękanym podczas orgazmu przekleństw pod niczym adresem. Czułam, że uda drżą mi jak zawsze podczas ekstazy, ale tym razem nie wstydziałam się tego ani trochę.

- Jeszcze chwilka. - Sapanie za moimi plecami nabrało gardłowego wydźwięku. Facet nadal poruszał mną w przód i w tył, ale teraz wolniej, za to mocniej mnie na siebie nabijając. Zrobił się twardszy i grubszy. Po raz pierwszy poczułam delikatny ból głęboko w środku i pomyślałam, że pewnie koniec jego penisa mam gdzieś pod żołądkiem. Całe szczęście, że trwało to tylko kilka sekund: Vae ścisnął mnie dłońmi i zatrzymał w miejscu, poruszając się delikatnie. Mruczał głośno, mamrotał coś w obco brzmiącym języku, a ja czułam, jak jego członek pulsuje we mnie coraz słabiej i słabiej.

Puścił mnie i wycofał się, dysząc jak po ostrym biegu.

Nie miałam siły stać, nogi nie chciały utrzymać mojego ciężaru. Obróciłam się i usiadłam gołym tyłkiem na masce Cukiereczka. Byłam kurewsko zmęczona, do cna wyczerpana

jednym numerkiem, jakbym pieprzyła się non stop przez pół dnia.

Siedząc, mogłam wreszcie przyjrzeć się temu, co dało mi tyle przyjemności. Vae zdjął już prezerwatywę i trzymał ją w palcach przed twarzą, z dziwną miną oglądając jej zawartość. Zgadywał, ile objętości ma jego wytrysk, czy liczył plemniki?

Zerknęłam niżej: penis wracał do swoich normalnych rozmiarów, choć nawet na wpół pobudzony robił wrażenie. I był nadal równie piękny jak wtedy, gdy widziałam go po raz pierwszy, choć teraz czubek miał ubrudzony zawartością prezerwatywy. Urocze.

- Będę musiała cię zmierzyć. - Zaśmiałam się ze swojego pomysłu.

- Zmierzyć mnie? - Odsunął sprzed oczu dyndającego smętnie kondoma. - Po co?

- Babska ciekawość.

- Dziwne masz zainteresowania. - Uśmiechnął się krzywo.

- Potrzymasz? Muszę podciągnąć spodnie. - Podał mi kondoma.

Wzięłam go w dwa palce i trzymałam w wyciągniętej ręce, jakby zawierał radioaktywną substancję zamiast zwykłej spermy. Oddałam go właścicielowi prawie tak chętnie, jak się z nim pieprzyłam. Z nim, chudym gościem po trzydziestce, dziwnym nawet jak na mój gust.

Patrząc na stojącego przede mną faceta, powoli zaczęłam popadać w niepokój.

Chciałam spytać, co dalej. Co będzie teraz, po tym, co

zrobiliśmy. Chciałam dowiedzieć się, czy będzie jakiś ciąg dalszy, czy też dzisiejszy incydent był pierwszym, a zarazem ostatnim w naszej krótkiej karierze bycia kochankami. Chciałam, żeby powiedział mi, że to nie było chwilowe zamroczenie, wywołane widokiem kopulujących koni.

A jednak nie odezwałam się słowem, gapiąc się tylko w tajemnicze, zielone oczy i próbując wzrokiem przekazać mu swoje myśli.

- Wypakuję zakupy - powiedział, znikając po drugiej stronie wozu.

Żadnego „było cudownie” czy „jesteś świetna”. Żadnego „następnym razem...”. Nie zaproponował wspólnej nocy. Po prostu poszedł wyjąć z bagażnika swoje pierdolone płatki.

Siedziałam, gapiąc się na swoje szorty, leżące pod ścianą jak kawałek szmaty, i czułam się jak szmata.

Chciało mi się płakać.

Samotny kubek stał na środku żółtego, kuchennego blatu jak zagubiony na pustyni wędrowiec. Kilka jasnych półokręgów znaczyło miejsca, w których wcześniej stawiałam naczynie, rozlewając przy tym odrobinę kawy.

Kawy, którą piłam sama, wsłuchana w ciszę domu. Zgarbiona nad stołem, siedziałam plecami do okna, nie chcąc widzieć rozciągającego się za nim pięknego krajobrazu. To, co ładne, kłóciło się z moim ponurym, brzydkim wnętrzem. Nie pasowało do mnie. Lub może ja nie pasowałam do niego?

Nie wiem, który już raz zastanawiałam się nad podejmowanymi przeze mnie decyzjami. Nie tymi

najnowszyimi, ostatnimi, ale ogólnie. Szukałam w swoim życiu tej, która doprowadziła mnie do obecnego miejsca.

Cofałam się po kolejnych ścieżkach w przeszłość, zatrzymując się na każdym rozdrożu i próbując wyobrazić sobie, co by było, gdybym poszła wtedy tą drogą, którą odrzuciłam.

Szkoda, że ludzkie życie nie jest grą z możliwością zapisania jej stanu i zagrania jeszcze raz od wybranego checkpointa. Szkoda, że nie można wrócić do tego przed podjęciem decyzji i wybrać innej drogi, porównując rezultat. A potem zapisać na karcie pamięci z adnotacją „poziom zaliczony”.

Odkąd zaczęłam uważać się za na tyle dorosłą, by brać odpowiedzialność za własne czyny, małymi krokami zbliżałam się do krawędzi, nie widząc jej zza czubka własnego nosa. Teraz stałam nad nią, chwiejąc się na wysokich obcasach modnych butów i próbując zawrócić, a przeszłość dyszała mi za plecami, wyliczając szeptem popełnione przeze mnie błędy. Mnóstwo błędów.

Wierzyłam w swoją nieomyślność za każdym razem, gdy wybierałam to, co dawało mi adrenalinę. Krótkie, burzliwe związki zamiast jednego czy dwóch dających spokój i stabilizację. Częste szaleństwa w przypadkowym w większości towarzystwie, z garstką znajomych i tłumem obcych. Nowe miejsca, poznawane niejednokrotnie na ciężkim kacu następnego dnia, zdziwienie, że spałam w cudzym łóżku, choć przez pięć lat takiego życia powinnam była przywyknąć do podobnych niespodzianek. W końcu sama je sobie

sprawiałam.

Pożądanego mojego towarzystwa dlatego, że byłam „rozrywkowa”. Dlatego że upijałam się drinkami uwieszona na szyi kolejnego młodego przystojniaka, a potem pozwalałam mu spuścić z lędźwi. Leżąc pod kolejnymi facetami, oglądałam coraz to inne sufity, prawie nie zwracając uwagi na to, że w moim przypadku tak naprawdę wszystkim chodziło tylko o seks.

Nie wiem, jak w tym wszystkim potrafiłam znaleźć miejsce dla rzeczy tak dojrzałych jak antykoncepcja hormonalna, robione co kilka miesięcy testy na AIDS i prezerwatywy. Jakim cudem pamiętałam o tych ostatnich, będąc często pijana w sztok. Widać resztki rozsądku kołatały się we mnie, próbując przypomnieć o swoim istnieniu. Pilnowały mnie, najwyraźniej wiedząc, że kiedyś zechcę jeszcze być normalna. Jeśli, oczywiście, będę wiedziała, co znaczy „bycie normalnym”.

Wylałam do zlewu resztki kawy i przemyłam twarz zimną wodą. Nie płakałam, nie byłam w aż tak złym stanie, żeby oczy pociły mi się z powodu rozmyślenia nad sobą. Poza tym, pozbyłam się nadmiaru płynów ubiegłego wieczoru, próbując zasnąć w nagle zbyt wielkim łóżku, zwinięta na jednej jego połowie, drugą zostawiając wolną na wszelki wypadek. W razie gdyby mój jednorazowy kochanek zmienił zdanie.

- Kurwa... - syknęłam, przypominając sobie, jak po całym dniu krążenia wokół niego odważyłam się wreszcie spytać. Wydukać te kilka słów, które od jego wyjścia z garażu wracały do mnie bez przerwy.

„Miałbyś ochotę na coś więcej? Mógłbyś przyjść, zostawię otwarte drzwi”.

Znów widziałam lekkie, trwające ułamek sekundy skrzywienie ust i cień przemykający przez jego twarz.

„Nie”.

Krótkie, zwięzłe i bolesne jak dobrze wymierzony policzek.

To wystarczyło. Wycofałam się na własne śmieci, schowałam pod skorupą i przetrawiałam porażkę, torturując się własnym upadkiem.

Kiedyś, w podobnej sytuacji, słałabym życzenia śmierci pod jego adresem, widząc swoją krzywdę w byciu splawioną w tak przykry sposób. Nazywałabym go wstrętną, męską świnią, oskarżała o wykorzystanie mnie w typowo samczy sposób.

Dziś obwiniałam za to tylko siebie. Swoje „mądre” decyzje z przeszłości, chęć życia na pełnych obrotach i korzystania ze wszystkiego, co nie mogło mnie zabić.

Musiał o tym wszystkim wiedzieć. Musiał słyszeć, jaka za mnie suka. Jaką zdzirą byłam. Jeśli mój własny ojciec prosił obcego człowieka, by nie pozwolił mi imprezować, musiało być ze mną źle.

- Kurwa, kurwa, KURWA! - wrzasnęłam, mając na myśli siebie, i zamachnęłam się, rzucając kubkiem o przeciwległą ścianę. Naczynie rozprysło się na miliony kawałeczków, zasypując kuchnię drobnym deszczem, podobnym do tego, który migotał za oknami, szumiąc w liściach drzew i kwiatów.

Nawet natura płakała nade mną, choć ja nie miałam

zamiaru tego robić.

Oparłam dłonie o krawędź zlewu, ściskając go jak ostatnią stabilną i dającą podporę rzecz. Patrzyłam za okno, zastanawiając się, co mam z sobą zrobić. Brakowało mi pomysłów na życie inne niż to, jakie dotąd wiodłam. Bałam się, że pogubię się, próbując coś zmienić, i w rezultacie zatoczę koło, wracając do tego, od czego postanowiłam uciec. Bałam się porażki.

Sięgnęłam po czystą szklanę i napełniłam ją do połowy przezroczystym cudem ze stojącej w lodówce butelki. Wódka. Lekarstwo na smutki i żale. Pomocnik, gotów rozjaśnić umysł i podsunąć nowe, wcześniej niezauważone rozwiązania. Potrafił mnie rozbawić, poprawić samopoczucie i pozwalał zapomnieć.

Zabarwiłam alkohol odrobiną soku i wypiałam duszkiem dwie trzecie drinka. Ciepło rozlało mi się w przełyku i żołądku, przeniknęło do krwi i rozniosło się po całym ciele.

„Warto było?”

Pytanie pojawiło się w mojej głowie w postaci rozkwitłego na ciemnym tle dymku z komiksu.

- Nie, nie było - mruknęłam, czując pierwsze efekty działania wódki. Świat zaczął nabierać kolorów, a ponure myśli uciekały z piskiem, chowając się w kątach.

Dopiłam resztę drinka i znów napełniłam szklanę. Powinnam coś zrobić. Oderwać się od przytłaczającej nudy. Mogłam wsiąść do Cukiereczka i jechać do miasta, zostawić w cholere dom i pałętającego się przy nim dupka. Niech kiśnie tu sam i zabawia się swoim wielkim kutasem. Im dalej będę od

tego faceta, tym lepiej dla mnie. Miał mnie za szmatę? Ach, nie mogę go zawieść, mógłby poczuć się rozczarowany, a ja bardzo nie lubiłam rozczarowywać ludzi.

(Poza rodzicami, prawda, suko?).

- Spierdalaj, sumienie. Nie znamy się, dobrze? - powiedziałam na głos.

(Jesteś pewna?).

Znajome słowa...

- Nie mów do mnie jego głosem - warknęłam, zła za podstępne gierki, którymi posługiwał się mój rozsądek. Skurwysyn, nie chciał ustąpić i zostawić mnie w spokoju. - Odpierdol się i chlapnij sobie - dodałam, wychylając połowę drugiego drinka. Tym razem nie zawierał soku.

(Pijesz, potem się puszczasz, następnie żałujesz i robisz to znowu. Po co?).

- Piję, żeby się puszczać. Puszczam się, żeby zapomnieć, jaka ze mnie puszczałka - odpowiedziałam z pokrętną logiką i parsknęłam śmiechem. Wiedziałam, że sumienie da mi spokój, usatysfakcjonowane. - Nie, no jestem genialna. Gdzie mój Nobel? - Rozejrzałam się po kuchni. - Idę siku, jak wrócę, nagroda ma tu na mnie czekać.

Odstawiłam wódkę i poszłam do łazienki na dole, dumna z własnego odkrycia. Miałam odpowiedź na wszystkie dręczące mnie pytania. Chichotałam jak głupia, siedząc na kiblu, chichotałam, wracając do kuchni. Chichotałam, widząc, że „Nobel” stoi w niej i czeka. Więc jednak nieistniejący Bóg czasami wysłuchiwał żądań pustych, napranych dziwek.

- Ho, ho, dostałam nagrodę, nawet ujdzie. - Pogłaskałam

gładki policzek obserwującego mnie faceta. – Stwórca wie, co lubię. – Przesunęłam dłoń w dół torsu Vae, sięgając do krocza.

– Co ty wyprawiasz, dziewczyno? – Odsunął moją rękę. – Powinienem sprać ci tyłek.

– Lepiej mnie zerznij. – Otarłam się o niego piersiami. – Nie chcesz? – spytałam, widząc jego sceptyczną minę.

– Nie, nie chcę.

– Podobno mnie lubisz – marudziłam. Śmieszne, ale nie byłam zła o to, że mnie nie chciał. Sama bym siebie nie chciała.

– Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

– Może jednak? Jeśli potrzebujesz podniety, poszukam ci w internecie filmów z końmi. – Uwiesiłam mu się na szyi. – Mogę nawet zarzeć, gdybyś chciał.

– Zaczynasz przeginać, mała – syknął cicho.

– Nie lubię cię, wiesz? – Wyszczrzyłam się do niego. – Wkurwiasz mnie.

– Taaak? – spytał przeciągle, unosząc brwi. – A mogę wiedzieć dlaczego?

„Bo każesz mi myśleć”.

– Bo udajesz niedostępnego, a jesteś taki sam jak wszyscy – wyjaśniłam.

– Uch, no to mnie podsumowałaś. – Teraz on się szczyrzył, prezentując swoje śmieszne ząbki.

– Jak skurwysyn, nie? – Puściłam go i sięgnęłam na stół po szklankę. Byłam jeszcze zbyt trzeźwa, żeby do końca zobojętnieć. Chciałam więcej wódki. Nie było jej. – Gdzie mój drink?

- Drink? Z tego, co wiem, drink zawiera co najmniej dwa składniki, a ty zapomniałaś dodać do wódki drugiego. Wylałem. Nie będziesz pić. - Skwitował słowa obojętnym machnięciem ręki.

- Możesz pocałować mnie w dupę. - Wyjęłam z lodówki butelkę z resztką przyjaznej głupocie cieczy.

- Pewnie w którymś momencie to zrobię, ale nie wtedy, gdy będziesz pijana. - Odebrał mi mój skarb i schował na miejsce. Spokojnie, stanowczo i w sposób, który zniechęcił mnie do oporu. - Mów, co się dzieje. - Oparł się plecami o lodówkę i założył ręce na piersi, patrząc wyczekująco.

- Nic. Co ma się dziać? - Wzruszyłam obojętnie ramionami, nie chcąc przyznać, że jego wzrok pozbawia mnie... wszystkiego. Pod czujnym spojrzeniem zaczynałam czuć się bezbronna i obnażona, jakby umiał wnikać w mój umysł i odczytać to, co we mnie siedzi.

- Boli cię, prawda? - rzucił cicho, a ja przeraziłam się jego pytania.

- Skąd, nie masz aż tak wielkiego. - Szłam w zaparte. Udawałam głupszą niż byłam, co w sumie nie okazało się tak trudne.

- Boli cię samoświadomość - odpowiedział, patrząc mi uważnie w oczy. - Możesz mi powiedzieć.

- Proponujesz mi terapię na kozetce? - spytałam. - Myślisz, że mam jakiś problem? Nawet jeśli, to nie twoja sprawa. Wal się pan, panie Freud.

- Proponuję ci siebie w zamian za rozmowę. - Chwycił mnie za podbródek i zmusił, żebym na niego patrzyła.

- HA! Ty też jesteś kurwą! Dajesz za rozmowę? - krzyknęłam triumfalnie, zionąc mu alkoholowym oparem w twarz. - Wyszło szydło z worka, kochaniutki, nie jestem jedyną szmatą w obrębie kilome... - Zamknęłam się tak nagle, że omal nie przygryzłam sobie policzka. Natychmiast wytrzeźwiałam przynajmniej w połowie, przerażona tym, co powiedziałam. Nie o nim, ale o sobie. Na głos.

Wyrwałam brodę z uścisku i uciekłam na drugą stronę stołu, stając plecami do Vae. Trzęsłam się, nie wiem nawet dlaczego, ale telepałam się jak w ataku febry, a zęby szczękały mi jak kastaniety.

Słyszałam ciche kroki i zgrzyt okruchów kubka pod wyświechtanymi trampkami faceta. Pewnie miał mnie dość, nic dziwnego. Palnęłam kilka słów za dużo, potwierdzając jego opinię o mnie, a przy okazji obrażając i jego samego.

Miał setki powodów, żeby wyjść i zostawić mnie samą.

Jednak nie wyszedł. Zesztywniałam, czując, jak staje za mną, blisko, bardzo blisko, i obejmuje mnie ramionami.

- W obrębie kilometra nie ma żadnej szmaty. Jest tylko mała dziewczynka, która trochę pogubiła się w dorosłym życiu, i facet, który naprawdę ją lubi - szepnął mi do ucha. - Wiem, że jest ci wstyd, bo wiesz, że znam sporo szczegółów na twój temat. Słyszałem o tobie, jeszcze zanim tu przyjechałaś. Ale ja nie kieruję się plotkami, malutka. - Pocałował mnie w skroń. - Co prawda, zawsze niosą w sobie część prawdy, ale ubarwionej i zafałszowanej. - Mówił, trzymając usta przy moich włosach. Jego oddech łaskotał mnie w czoło i rozwiewał grzywkę, a ja trzęsłam się coraz bardziej,

próbując normalnie oddychać.

„Nie rób mi tego, proszę. Nie obejmuj mnie w taki sposób”.

- Obserwowałem cię od pierwszego dnia, próbując poznać, a potem zrozumieć. - Kolejne słowa otaczały moją głowę. - Nie pozwalasz się do siebie zbliżyć, reagujesz nerwowo, uciekasz w wulgarność i masz cholernie cięty język. Używasz ciała, szukając aprobaty otoczenia, ale zapominasz o tym, co masz w głowie.

„Przestań, zamknij się i nie odzywaj”.

- Jestem głupią dziwką - powiedziałam cicho. Skoro i tak wiedział...

- Jesteś młoda, nie głupia. Ja też miałem kiedyś tyle lat co ty.

- Jestem zerem. Piję, pieprzę się i tak na okrągło. - Dokładałam sama sobie w chorej chęci pogrążenia siebie w jego oczach. Niech da mi wreszcie spokój. Niech idzie, zniechęcony do mnie, zamiast stać i obejmować mnie jak swoją dziewczynę.

- Odkąd tu jesteś, pieprzyłaś się tylko ze mną. Poza tym jednym razem byłaś bardzo grzeczna.

- Wczoraj nie puściłeś mnie na imprezę - przypomniałam. Zrobiło mi się niedobrze na myśl, że wszystko skończyłoby się tak, jak zawsze: poszłabym do łóżka z kimś, kogo być może widziałabym pierwszy raz w życiu, pijana i szczęśliwa, że robię to, co robię. - Mogłam iść, ale...

- Ale nie poszłaś, choć nie trzymałem cię w domu siłą. Nie jesteś tak zła, jak ci się wydaje, mała.

- Jestem. - Poddałam się do końca. Byłam nikim i żaden dupek nie mógł myśleć inaczej.

- Nie jesteś. Nie kłóć się ze starszym od siebie.

- Pierdol się. Jestem zerem - upierałam się przy swoim.

Nadal się trzęsłam, ale teraz dołączyły do tego mdłości. Czułam, że długo nie wytrzymam; żółć pomieszana z kawą i wódką podchodziła mi coraz wyżej do gardła.

- Więc gustuję w seksownych zerach. - Zachichotał i pocałował mnie w szyję. - Co powiesz na to, żebym zrobił nam na obiad grillowane steki? Tłusciutki, chrupiące steki?

Wizja ociekającego tłuszczem mięsa była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam. Żołądek zaprotestował przeciw niej kilkoma silnymi, bolesnymi skurczami.

- Muszę się wyrzygać.

Noc nadchodziła powoli, a my leżeliśmy na rozłożonym za domem kocu, całkiem nadzy, zaspokojeni łagodnym, powolnym seksem. Obejmując Vae, patrzyłam w bezchmurne już niebo albo w pochyloną nade mną twarz i nie wierzyłam, że to wszystko przytrafia się właśnie mnie.

Chciało mi się płakać.

- Kim ty w ogóle jesteś? - spytałam, zwinięta przy jego boku, okrywając się jego koszulą.

- Zesłanym przez Boga aniołem, który ma nawrócić cię ze złej drogi - wymamrotał. Widziałam błysk białych zębów: uśmiechał się, patrząc w niebo.

- Nie wierzę w Boga.

- Więc jestem wysłannikiem obcej cywilizacji. Moje

zadanie polegało na znalezieniu młodej, zdrowej kobiety i spłodzeniu z nią dziecka, które będzie pierwszym przedstawicielem nowej rasy. – Mówiąc to, zaczął chichotać. – Wiesz, tak naprawdę mam siedem macek i dwie pary oczu, ale przybrałem ludzką postać, żeby cię nie straszyć.

– Sukinsyńsko pociągającą postać, panie kosmito – zaśmiałam się. – Porwiesz mnie na swoją planetę?

– Kusząca perspektywa, nie powiem. – Uniósł rękę, wskazując na niebo. – Widzisz tę mieniącą się czerwono plamkę? Tam mieszkam.

– To Mars, wariacie, na Marsie nie ma życia. – Ściągnęłam jego rękę w dół, splatając z nim palce. – A tak naprawdę? Kim jesteś?

– Tak naprawdę jestem zwykłym facetem szukającym szczęścia. Takim, jakich setki łazi po całym świecie.

– Miliony – wtrąciłam.

– Setki takich jak ja, miliony innych. – Westchnął.

– Mówiłeś, że zrobiłeś coś złego. – Przypomniałam sobie jego słowa sprzed dwóch dni.

– Tak. Dokonałem złego wyboru, w rezultacie ktoś z moich bliskich ucierpiał. Podjąłem błędną decyzję.

– Skąd ja to znam... – mruknęłam, siadając. – Dlatego musiałeś opuścić dom?

Przyglądałam mu się leżącemu z jedną ręką pod głową, drugą przerzuconą przeze moje uda, oświetlonemu srebrnym światłem księżyca i gwiazd. Znów coś ścisnęło mnie za gardło, z trudem przełknęłam ślinę, wstrzymując pchające się do oczu łzy. Nie cierpiałam nagłych, bezsensownych wzruszeń.

Wkurwiało mnie, że czasem nie jestem twarda i wyłazi ze mnie rozmemłana dziewczynka.

- Nie musiałem. Po prostu tak było lepiej. Ale niedługo wracam do siebie, mała. Rok tułaczki to dość, żeby nastroje w rodzinie poprawiły się, pozwalając mi spokojnie żyć. - Vae podparł się na łokciu. - Robi się chłodno.

- Odrobinę. - Ciaśniej owinęłam się jego koszulą. Wiejący od jeziora wiatr przyprawiał mnie o gęsią skórę. - Chętnie schowam się pod ciepłą kołdrą. - Rzuciłam z przesadnym entuzjazmem.

Bałam się spytać, czy dzisiejszą noc spędzimy razem.

- No, to czas iść do domu, nie ma co odmrażać sobie dupy. - Poderwał się z koca.

Wstałam, zebrawszy z ziemi swoje rozrzucone bezładnie ubrania, i patrzyłam, jak on zbiera swoje. Zwinął koc, przerzucając go sobie przez ramię.

- Mam nadzieję, że moja kołdra będzie dla ciebie dość ciepła. - Objął mnie i pociągnął w stronę służbówki.

Coś łaskotało mnie w nos, nie dając dłużej pospać. Machnęłam ręką: znikło. I wróciło, gdy tylko moja dłoń opadła z powrotem na kołdrę. Upierdliwa, złośliwa mucha, jedna z tych, co to łążą po człowieku albo obsrywają monitor laptopa, zamiast znaleźć sobie lepsze zajęcie.

Uchyliłam powieki. W pierwszej chwili nie wiedziałam, gdzie jestem: obca ściana, obcy wzór tapety, obcy zapach pościeli, która mnie okrywała. Przestraszyłam się.

- Królowna się budzi, pysznie. - Ktoś odezwał się obok

mnie.

Spojrzałam w stronę głosu. Zasłonięte rolety w oknie nie przepuszczały zbyt wiele światła, ale bez trudu rozpoznałam szczerzącą się do mnie twarz Vae. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, w oczach miał jeszcze resztki snu i wyglądał uroczo.

Od razu przypomniałam sobie poprzedni wieczór. To, co działo się na brzegu jeziora, to, jak potem zabrał mnie do siebie i ogrzewał pod cienką, letnią kołdrą tak długo, aż nie przestałam drzeć z zimna. Nawet nie pamiętam, kiedy zasnęłam, wiem tylko, że nad ranem obudziło mnie jego mamrotanie. Nasłuchując w ciemnościach dziwnie brzmiących, śpiewnych słów, pomyślałam, że wspólne spanie z kimś obnaża nas w najbardziej bezbronny i intymny sposób.

-Wiesz, że gadasz przez sen? - Uśmiechnęłam się i rozburzyłam mu włosy jeszcze bardziej.

- A ty puszczasz baki - odparł, chichocząc.

JEB! Cały nastrój poszedł się walić. Szarpnęłam kołdrę, zakrywając nią twarz.

- Nie musisz sprawdzać węchem, wystarczy, że uwierzysz w moje słowa. - Roześmiał się głośno.

- Spadaj - mruknęłam, wystawiwszy spod okrycia czubek głowy.

- Dosyć tych słodkości, mała. Już ósma. Porządni ludzie dawno zjedli śniadanie. - Słyszałam i czułam, jak gramoli się z pościeli.

- Nie jadam śniadań - wymamrotałam. Dopiero wtedy dotarło do mnie, co powiedział. Ósma? - Usiadłam,

zapominając o wstydzie. - Czy ty nie masz litości? To środek nocy.

- Może w twoim świecie, ale u mnie jest już późno. - Ściągnął ze mnie kołdrę. Dopiero gdy upuścił ją w nogach łóżka, zauważyłam to, co normalne u każdego faceta. Miał erekcję.

- Jezu - wyrwało mi się. W moim tonie brzmiał zachwyt, z jakim dziesięciolatki rozmawiają o swoich idolach...

- Siku mi się chce. - Przygładził włosy. - Zagrzej mi pół kartonu mleka, ale nie tak, żeby było gorące, nie lubię kożucha. Ma być ciepłe, pamiętaj. I przelej do białej miski, stoi na suszarce.

- Mam przygotować ci śniadanie? - Zdziwiłam się nieco. Nie przywykłam do tego, żeby tak bez niczego mówiono mi, co mam robić.

- Czy to coś nienormalnego? - Zatrzymał się w drodze do łazienki.

- Zapomniałeś dodać: proszę.

- Proszę - odpowiedział po chwili, wcześniej patrząc na mnie dziwnym wzrokiem. Miałam wrażenie, jakby znów przez jego twarz przemknął ten sam cień, który widywałam wcześniej.

Lekkie niezadowolenie?

Znikł za drzwiami, a ja wydełam usta, robiąc w jego kierunku śmieszoną minę. Żaden samiec nie będzie mną dyrygował, choćby miał nie wiem jaką pałę.

Zwlokłam się z łóżka: coś mi mówiło, że już sobie nie pośpię.

Swoje ubranie znalazłam przerzucone przez oparcie krzesła: ubrałam się szybko. Mnie też chciało się do kibla, a Pan Szowinista nawet o to nie spytał. Przez zamknięte drzwi słyszałam, jak leje, pogwizdując przy tym jakiś kawałek.

- Zaraz wrócę! - krzyknęłam i popędziłam do swojego domu.

Poleciałam do łazienki. W dziesięć minut zdążyłam nawet obmyć twarz, zmienić koszulkę, przyczesać włosy i zgarnąć ze stołu komórkę. No tak, cztery nieodebrane połączenia od matki. Ciekawe, czego chciała ode mnie o jedenastej w nocy?

- Już jestem. - Wpadłam jak bomba do służbówki.

- Dziękuję za podgrzanie mleka. - Vae wystawił głowę zza drzwi kuchni.

- Zająłeś łazienkę - wyjaśniłam krótko.

Usiadłam przy niewielkim stole i zajęłam się przeglądaniem wiadomości. Jak zwykle, większość to same bzdury: kilka propozycji wyjścia do klubu od tych, którzy nie wiedzieli, że nie ma mnie w mieście, SMS od Adama z pytaniem, czy u mnie wszystko w porządku i jedna wiadomość od mamy. Właściwie komunikat, że będzie na Skypie w południe mojego czasu. Coś się stało? Jakieś problemy w podróży czy może martwiła się przez to, że nie odebrałam wczoraj telefonu?

- Zrobisz mi kawę? - spytałam, patrząc na mieszającego podgrzewane mleko Vae.

- Nie mam. Nie pijam, za bardzo mnie pobudza. - Jedną ręką mieszał łyżką w rondlu, drugą wsypywał do niego kilka łyżeczek cukru ze stojącego obok pudełka.

- Robisz karmel? - zapytałam.

- Nie, będę jadł płatki. Zawsze jem płatki. - Przelał parujące mleko do pokaznej białej miski. - Zajęłaś moje miejsce, mała. Możesz się przesiąść?

- Nie wiesz gdzie? Tu jest tylko jedno krzesło. - Wstałam, podkurwiona. Albo nie chciał ze mną gadać, albo stroił fochy za to, że nie zrobiłam tego, o co prosił.

Obrażona poszłam do pokoju: niech zajada się słodzonymi płatkami ze słodzonym mlekiem, ja nie muszę mu przy tym asystować.

Poprawiłam pościel, przynajmniej tyle mogłam zrobić, i obeszłam pokój, z ciekawością przyglądając się osobistym drobiazgom mojego obecnego kochanka. Nie dotykałam niczego, wcześniej nie sprawdziwszy, jak jest ustawione. Nawet tak banalna rzecz jak rozmieszczenie bibelotów, książek, których tu było od groma, sposób, w jaki składał koc, wszystko mówiło po trosze o tym, jakim jest człowiekiem.

Prócz książek, które pochodziły z biblioteki ojca, Vae miał niewiele. Kilka rzeźbionych w drewnie figurek zwierząt, jedną fotografię, na której stał na tle jeziora, nieoprawioną w ramkę i leżącą w kącie na półce, wymięty notes i ogryziony na końcu czarny długopis.

Wzięłam notes do ręki, nie tyle z chęci zajrzenia do środka, ile po to, by poczuć pod palcami fakturę okładki.

Była miejscami popękana, miała pozaginane rogi, a na przedniej wyrysowano dziwny, nieprzypominający niczego znanego symbol. Obrazek był wyryty głęboko w tekturze, jakby właściciel notesu siedział, nie wiedząc, jaką treść

zamknąć na kolejnej stronie, i kreślił długopisem znak na nowo.

Przesunęłam opuszkami wzdłuż wgłębień w okładce, brudząc palce świeżym tuszem. Czyżby Vae wstał w nocy i pisał coś albo obserwował mnie, gdy spałam?

- Hmm - mruknęłam i zajrzałam na ostatnią zapisaną stronę. - Co to, kurwa, jest? Parsknęłam śmiechem, widząc równiutki, pisany nieco pochyłym pismem tekst. Litery, choć zwykłe, układały się w całkowicie obce słowa. Nawet nie siliłam się na ich zrozumienie.

Przeleciałam wzrokiem kilka stron, cofając się do początku notesu, ale nigdzie nie znalazłam nic, co przypominałoby pisownię mojego imienia.

- Pozwoliłem ci grzebać w moich rzeczach? - Vae wyrósł obok mnie jak duch. Wyjął mi notes z rąk i odłożył go na miejsce. - Ja nie przechadzam się po twojej sypialni i nie ruszam wszystkiego.

- A szkoda - rzuciłam bez zastanowienia. - W jakim języku to jest napisane?

- W starym dialekcie rumuńskim.

- Jesteś Rumunem?

- Moja rodzina pochodzi z Karpat. - Wyjął z szafy złożoną w kostkę szarą koszulkę i ją założył. - Słuchaj, muszę wyjść na trochę. - Wyglądał na niecierpliwego, jakby paliło mu się pod tyłkiem. Co chwila przebiegał nerwowo palcami po włosach.

- Spławiasz mnie?

Westchnął, uniósł oczy do sufitu i przysięgłabym, policzył do dziesięciu. Tak przynajmniej mi się wydawało, bo poruszał

bezgłośnie ustami.

- Muszę dopilnować pewnych rzeczy, to moja praca. Zaniedbałem ją wczoraj. - Objął mnie ramieniem, prowadząc na zewnątrz.

Wyrwałam się.

- Dobra, nie musisz kręcić. Jeśli mam nie plątać się po twoim domu, to po prostu powiedz, a nie pierdzielisz za uszami. - Ruszyłam w stronę głównego budynku. - Wszystko pięknie, jak chce ci się bzyknąć, a potem robisz się kurewsko zajęty, a ja mam spierdalać.

- Muszę obejść jezioro i... - Zaczął się tłumaczyć, ale miałam w dupie wszystko, co mówił.

- Obejdź sobie nawet Ziemię. - Rzuciłam, nie oglądając się za siebie, po czym trzasnęłam drzwiami. Gdyby szedł za mną, oberwałby zdrowo, ale gdy zerknęłam przez szybkę, on oddalał się pospiesznie w stronę jeziora.

Nie tak powinien wyglądać ranek następujący po cudownym wieczorze. Nie powinien kończyć się kłótnią z błahego w gruncie rzeczy powodu. Po raz drugi coś poszło nie tak, jak powinno.

Wiem, że jestem nerwus, tym bardziej gdy się nie wyśpię. Wiem, że trudno mi dostosować się do ludzi i ich oczekiwań, jeśli nie mam przed oczami zesłanej przez kilka drinków mgiełki. Wiem, że po prostu jestem ciężkim przypadkiem egoistki. To świat miał kręcić się wokół mnie, nie inaczej.

Jeśli facet mówił mi, że jest mój, a ten nadmuchany dupek powiedział to dwa razy w ciągu trzech dni, powinien mi to jakoś udowodnić.

Powinien pozwolić mi się wyspać. Spytać, czy potrzebuję skorzystać z jego łazienki, zanim on to zrobi. I, do chuja, zaproponować, że to ON przygotuje śniadanie, nawet jeśli nic rano nie jadam.

Kończąc kawę, rozglądałam się za oknem, szukając jakiegoś znaku, że mój - nie mój facet gdzieś tam jest, ale nie zauważyłam nic poza pustą taflą spokojnej wody i kilkoma przelatującymi nad nią ptakami.

(Ale z drugiej strony... Czy TY zrobiłaś coś poza nadstawieniem mu tyłka?).

- Że jak? - spytałam na głos, zdziwiona własnym spostrzeżeniem.

Czy ja coś zrobiłam? A co niby miałam zrobić, dziękować mu za to, że zechciał mnie przelecieć?

Prychnęłam lekceważąco.

Sprzątnęłam po złożonym z kawy i papierosa śniadaniu i poszłam do siebie, w drodze natykając się na leżącą na schodach koszulkę, którą miałam na sobie podczas zawstydzającej, a zarazem przynoszącej ulgę rozmowy w kuchni poprzedniego dnia. Niejasno pamiętałam, że upaprałam sobie przód, wymiotując po całkiem sporej porcji wypitej na czczo wódki.

Podniosłam koszulkę: rzeczywiście, widniała na niej spora plama.

- Matko, co za obciach. - Jęknęłam, przypominając sobie wszystko. Wszystko, co umknęło mi z pamięci, wyparte przez rozkoszne, wieczorne bzykanko.

Siadłam na środku schodów, miętosząc w dłoniach

śmierdzącą koszulkę.

Przed oczami przelatywały mi obrazy z ubiegłego dnia.

Ja, z ustami zakrytymi dłonią, spod której ciekła cuchnąca, półprzezroczysta breja. Ja prowadzona do łazienki przez milczącego Vae.

Ja, schylona nad kibelem, z wyrywającymi trzewia torsjami, i on, stojący obok, trzymający moje włosy. Pamiętałam nawet, że uspokojał mnie, obiecywał, że zaraz poczuję się lepiej.

Obraz przed moimi oczami zmienił się. Już nie widziałam łazienki. Szłam chwiejnie po schodach, zdzierając z siebie mokrą koszulkę, podtrzymywana przez wciąż towarzyszącego mi faceta. Położył mnie do łóżka, okrył kołdrą i siedział, dopóki nie zasnąłam. Siedział i gładził mnie po głowie, choć wcale nie musiał tego robić. Ja na jego miejscu poszłabym w pizdu, zostawiłabym samą siebie jak nic. Zostawiłabym jego, gdyby był w podobnym jak ja wczoraj stanie.

- Kurwa.

Zacisnęłam dłonie w pięści. Wstydziałam się sama przed sobą. Wstydziałam się, bo gość zachował się jak trzeba, a ja nie byłam łaskawa tego pamiętać. Moja cholerna, wybiórcza pamięć zarejestrowała to, co działo się po moim przebudzeniu, głównie skupiając się na seksie.

Zerwałam się ze schodów i wróciłam na dół. Złapałam pozostawiony w kuchni telefon.

„Będę na Skypie za dwie godziny. Kocham. Yas”.

Wysłałam wiadomość do mamy i zabrałam się za przyrządzanie iście królewskiej pieczeni. Wstawiłam ją do piekarnika i zaprogramowałam kuchenkę.

- Obym znów nie zrobiła czegoś głupiego - mruknęłam.

O umówionej godzinie leżałam na łóżku w swoim pokoju z laptopem spoczywającym obok mnie, czekając, aż rodzice pojawią się na Skypie.

Wszystko miałam przygotowane i zaplanowane do ostatniego szczegółu.

Pierwsza miała być uspokajająca, wyjaśniająca wszystko (albo nic) rozmowa z mamą.

Potem obiad. Miałam nadzieję, że Vae zjawi się, jak zwykle wyczuwając sprawę, zanim pieczeń wystygnie. Naprawdę chciałam odwdzińczyć mu się jakoś za to, co dla mnie zrobił. Pal licho własną dumę i wstyd, raz mogłam ustąpić. Specjalnie dla niego posprzątałam kuchnię, jadalnię, swoją sypialnię i to, co mógł minąć w drodze do niej. Specjalnie, nie chcąc tracić czasu, w razie gdyby przyszedł, wykąpałam się i nałożyłam skromną, brzoskwińową sukienkę do połowy uda. Chciałam poświęcić mu cały swój czas, nie tracąc ani minuty na przyziemne sprawy. Niech zobaczy we mnie kogoś więcej niż samolubną sukę, niepotrafiącą go docenić.

Dzwonek połączenia na Skypie poderwał mnie w miejscu. Odebrałam.

- Cześć, mamó - odezwałam się pierwsza, czekając na obraz.

Ukazał się po chwili. Rodzice, cisnąc się przed kamerką laptopa, stali na tle ciemniejszego nieba. - Cześć, słoneczko - usłyszałam.

- Przepraszam, że wczoraj nie odbierałam, miałam

gówniany dzień i wcześniej poszłam spać. Wyciszyłam dzwonek w telefonie – powiedziałam szybko, nie czekając na ich pytania. – Bolała mnie głowa. Gdzie jesteście?

- W Japonii. Spędzimy tu tydzień i wracamy.

- Tydzień? – spytałam głupio.

- Tak, tydzień. Mielisśmy jechać jeszcze raz do Chin, ale tam panuje teraz dziwnie nieprzyjazna turystom atmosfera, więc wrócimy do domu wcześniej.

Mieli wrócić za dwa tygodnie. Nagle, całkiem z zaskoczenia, poczułam się okradziona z siedmiu dni. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Przecież nie rzucę im propozycji, żeby bawili w Kraju Kwitnącej Wiśni dłużej, niż zamierzali. Od razu zaczęliby coś podejrzewać.

- Mamy dla ciebie śliczne pamiątki. Zobacz, makatka z indyjskim bóstwem miłości. – Mama pokazała do kamery coś szarego z ciemnym wzorem. Po ich stronie było zbyt ciemno, by dało się rozpoznać cokolwiek prócz plam.

- Śliczna – stwierdziłam dla świętego spokoju, mając w pamięci okropną, afrykańską maskę sprzed roku.

- To jeszcze nic... – mówiła dalej, ale przestałam słuchać, widząc otwierające się u mnie drzwi.

W progu stał Vae, trzymając w dłoni pojedynczą, ledwie rozkwitłą różę w kolorze krwi.

Wszedł cichutko, na palcach. Na szczęście kamera laptopa skierowana była na moją twarz, on zaś stał po drugiej stronie pokoju. Rodzice nie mogli go widzieć.

- Przepraszam, coś odwróciło moją uwagę. Co jeszcze mi kupiliście? – spytałam, wracając do rozmowy, choć kątem oka

obserwowałam zbliżającego się faceta. Nie wyglądał na obrażonego za moje poranne zachowanie.

Miał dziwną minę kogoś, kto wpadł na diabelski pomysł. Ciekawe, co knuł.

Przekonałam się o tym chwilę później.

Najpierw stanął nade mną i laptopem, patrząc z góry na jego ustawienie. Uśmiechnął się. Obszedł łóżko, stając w jego nogach.

Rzucił różę obok komputera i wszedł na pościel, cały czas będąc poza zasięgiem kamery. Znów zerknął na monitor.

- ...jest naprawdę piękne, będziesz wyglądać jak prawdziwa Hinduska - usłyszałam głos mamy.

- Co to jest? - spytałam, widząc czerwoną, wzorzystą płachtę, którą mi pokazywała.

- Sari.

- Aha - mruknęłam, zerkając na to, co robi Vae.

Zachowywał się tak cicho, że nawet ja prawie go nie słyszałam.

Klęknął w nogach łóżka i podciągnął mi sukienkę prawie do pasa, odsłaniając majtki. Wciąż się uśmiechał.

Znów przestałam słyszeć to, co mówili do mnie rodzice. Byłam zajęta tym, co robił ze mną Pan Niespodzianka. Byłam zajęta i zafascynowana, bo nikt dotąd nie robił ze mną czegoś podobnego.

Całował mnie. Najpierw w lewe, potem w prawe udo. Od kolan w górę, rozsuwając je na boki.

Leżałam prawie na wznak, ledwie obrócona twarzą w stronę laptopa.

Nie rób tego, nie teraz, durniu!, pomyślałam, próbując dzielić uwagę między dobierającego się do mnie faceta i rodziców. Widziałam ich, pokazujących mi coś kolorowego, coraz to inne przedmioty, ale myślałam tylko o Vae.

Wlepiłam wzrok w monitor, chcąc uciec myślą przed manewrami kochanka. Nie udało mi się. Czułam, jak odsuwa na bok moje majtki. Czułam, jak jego język zajmuje ich miejsce.

- Yasminko...?

- Słucham? - Skupiłam się na obrazie, który widziałam przed sobą na monitorze. - Gdzie mama? - spytałam, widząc tylko tatę.

- Mówiła przecież, że idzie do toalety.

- Przepraszam, nie słuchałam. Mam w pokoju szerszenia.

- Wymyśliłam pierwszą z brzegu wymówkę, mającą usprawiedliwić moją nieuwagę.

Szerszeń ze skurwysyńsko wielkim żądłem.

- Lepiej nie ruszaj się z miejsca, kochanie. Wiesz, że nie wolno ich drażnić.

- Wiem.

Starałam się nie pokazać po sobie tego, co się dzieje. Gapiłam się w monitor, czując między nogami rytmiczny, mocny nacisk języka Vae. Podniecał mnie, w perwersyjny sposób wykorzystując sytuację, w jakiej się znalazłam.

Widziałam twarz ojca, patrzącą na mój obraz, przekazywany z kamery laptopa, widziałam też brązową czuprynę buszującego między moimi udami faceta.

- Yasminko... - Głos taty docierał do mnie jak przez

ścianę.

- Tak?

- Miałaś obiekcje przed pozostaniem u nas w towarzystwie Vae.

„No kurwa, tylko nie to”.

- Miałam, ale już nie mam. Nasze stosunki układają się poprawnie - odparłam przewrotnie. Tak, stosunki mieliśmy zajebiste. - Doszliśmy do porozumienia.

Miałam ochotę przerwać połączenie i zwalić winę na spowodowane odległością problemy z jego utrzymaniem. Byłam podniecona. Siłą woli powstrzymywałam się przed jęczeniem. Co jak co, ale Vae nie zapomniał języka w gębie.

- Poprawnie? Czyli jak? - Pytanie ze strony ojca przywróciło mnie do świadomości. Częściowo.

- Omijamy się, jeśli nie da się inaczej. - To przynajmniej była część prawdy. Nie miałam zamiaru przyznać się do tego, że właśnie teraz, podczas naszej rozmowy, tatusiowy gość trzyma twarz między moimi nogami. Miałaś rację, to cholerny dzikus - dodałam, mając nadzieję, że „dzikus” weźmie sobie moje słowa do serca.

- Wiesz, gdzie teraz jest? Potrafi zniknąć nie wia...

- Jest na dole - przerwałam tacie, oznajmiając rozkoszną prawdę.

Vae był na dole i robił mi dobrze. Tak dobrze, że z trudem udawało mi się w miarę cicho oddychać.

Jestem zboczona. Jestem bardziej pierdolnięta, niż przewiduje ustawa antyaborcyjna, pomyślałam, jednocześnie spanikowana, że się wyda, i podniecona do granic możliwości.

To, co robiłam, co razem robiliśmy, było chore.

- Na dole? W bibliotece?

- Wspomniał, że chce liznąć trochę wiedzy - rzuciłam w miarę spokojnym tonem.

Czułam, jak mistrzowski język faceta zamiera na chwilę, po czym wraca do przerwanej czynności.

Miałam dość. Bez słowa ostrzeżenia sięgnęłam do laptopa i wyłączyłam Skype'a.

Nie mogłam mieć orgazmu podczas rozmowy z własnym ojcem. Po prostu nie mogłam.

II

Marznąc w nocnym wietrze, przypomiinałam sobie wydarzenia z przedwczoraj, wczoraj...

I te, które miały miejsce dziś. Gorsze niż wszystko, co przeszłam przez całe swoje żałosne życie.

Kij ciążył mi w rękach, choć starałam się tego po sobie nie pokazywać. Jak głupia dałam się namówić na wędkowanie. Ja, przeciwniczka bezsensownego wysiadywania na brzegu i wgapienia się w dryfujący na fali spławik. Ojcu nigdy nie udało się zaszczepić we mnie myśliwskiej żyłki. Ale... dla siedzącego przy mnie faceta mogłam nawet wskoczyć do wody i łapać ryby gołymi rękami. Byle mi w tym towarzyszył. Byle był blisko.

- Długo jeszcze? - spytałam żałosnym głosem. Tyłek bolał mnie od długiego wysiadywania na ubitym piasku.

- Nie wiem, Yas. Może minuta, może pięć czy dziesięć,

może pół godziny. Ryby mają swoje humorki, tak jak ty. - Vae obrócił głowę w moją stronę. Miał wkurzająco dobrotliwą minę, jakby bawił się tym, że się nudzę. Jakby wiedział, dlaczego sterczę tu zamiast iść do domu. W zielonych oczach migotały mu wesołe iskierki, usta układały się w lekki uśmiech. Był nieogolony, co rzadko mu się zdarzało. Cień zarostu dodawał mu męskości i dojrzałości, jakby i bez niego było ich w nim za mało.

Pieprzony samiec alfa, od którego nie mogłam oderwać oczu.

- Ręce mnie bolą - mruknęłam.

- Delikatna jesteś. - Zaśmiał się, odbierając mi wędkę.

- Może wcześniej tego nie zauważyłeś, ale kobiety są delikatne. - Z ulgą położyłam się na rosnącej za mną trawie. - Szybciej się męczymy, jesteśmy słabsze i tak dalej. - Nie chciało mi się wyliczać następnych różnic między płciami.

- No nie wiem, o ile się orientuję, jesteście silniejsze, inaczej nie mogłybyście rodzić dzieci.

Vae usiadł szeroko, opierając koniec wędki między nogami. No tak, ja trzymałam ją w powietrzu, ale nie raczył podpowiedzieć mi prostszego rozwiązania.

- Nie znam się na tym. Ty zresztą też, jesteś facetem. - Urwałam jakieś źdźbło i zaczęłam zagryzać je, smakując słodkawy sok.

- Widziałaś kiedyś rodzącą kobietę? Nie myślę tu o filmach czy programach w telewizji. - Zerknął na mnie.

- Nie, a ty? Zresztą, chyba nie chciałabym widzieć, pewnie puściłabym pawia jak stąd na drugi brzeg.

- Ja widziałem, jak rodzi się mój brat. Miałem wtedy dwanaście lat. - Wrócił do obserwowania spławika.

- Pierdolisz, masz brata? - Uniosłam się na łokciach, zaciekawiona. Wcześniej nie opowiadał mi o swojej rodzinie. - Kurwa, serio patrzyłeś, jak twoja matka go rodzi?

- No kurwa, serio. - Zachichotał. Rzadko przeklinał, najczęściej robił to właśnie tak jak teraz, przedrzeźniając mnie. Nawet w nerwach klął rzadziej niż ja w zwykłej rozmowie.

- Opowiesz mi?

- Taka jesteś ciekawa? Nie puścisz pawia? - Szarpnął wędkę. - Prawie była, uciekła. -Zaczął zwijać żyłkę. - Pewnie zjadła robaka, trzeba założyć nowego.

- Nie zamydlaj mi tu, opowiadaj. Przysięgam, że nie będę rzygać. - Usiadłam, kręcąc się na tyłku z ciekawości. Nie co dzień ma się do czynienia z gościem, który widział własną matkę podczas porodu.

- Co tu opowiadać? Matka zaczęła rodzić, ojca nie było w domu, musiałem zająć się wszystkim sam. Ona tylko mówiła mi, co przygotować. - Wyjął z pudełka grubego, soczystego robala i nabił go na hak. Staralam się na to nie patrzeć: wijąca się w jego palcach glista była obrzydliwa. Wstał, zamachnął się i patrzył, jak spławik ląduje dokładnie tam, gdzie tkwił przedtem. Usiadł. - Byłem przestraszony. Matka... cierpiała. Młody pchał się na świat tak szybko, że nie było mowy o wezwaniu pomocy. Zresztą, byłem dzieckiem, nie wiedziałem, co robić.

- Krzyczała?

- Tak. Naprawdę cierpiała, widziałem to i... nie mogłem jej ulżyć. A ojciec był daleko. W którymś momencie zacząłem płakać, byłem pewien, że matka umrze. Powiedziała, żebym był silny, bo potrzebuje mojej pomocy. Że mały jest źle ułożony i muszę... - Zamilkł.

Przygarbił się. Gdybym nie patrzyła na niego przez cały czas, pewnie umknęłoby mi to, ale widziałam, jak jego ramiona unoszą się na sekundę i opadają z powrotem. Wciąż patrzył przed siebie, ale byłam pewna, że zamiast kołyszącego się na wodzie spławika widzi to, co działo się dawno temu.

- Umyłem ręce - zaczął mówić. Przyciszonym, poważnym głosem. - A potem, kierowany słowami matki, obróciłem swojego brata tak, by mógł wyjść. Nie wiesz, jak to jest poczuć pod palcami plecy dziecka, tkwiącego jeszcze w twojej matce. Jakie jest ciepłe. Potwornie bałem się, że zrobię coś źle. Przesuwałem małe ciało, dokąd nie poczułem pod dłonią zlepionych włosów, a wtedy znów się rozpłakałem, tym razem z ulgi, że mi się udało. Potem poszło już szybko, po kilku minutach Saem leżał na łóżku i darł się tak, że omal mi uszy nie odpadły. - Vae znów poderwał wędkę: tym razem jej koniec wygiął się w łuk i zaczął drzeć. - Mamy rybkę, małą. Co powiesz na ognisko? - Wstał.

Siedziałam jak kołek, patrząc na Vae walczącego z rybą. Myślałam tylko o jednym: jak często w życiu możemy spotkać kogoś takiego jak on?

Zaczynałam rozumieć, dlaczego był taki, jaki był. Tajemniczy, skryty, mówiący o sobie ostrożnie i po troszkę. Wydawało mi się wcześniej, że udaje. Robi z siebie kogoś, kim

nie jest, gra przede mną, przed światem, sprawiając wrażenie zdystansowanego do wszystkich. Nawet jeśli nie umiałam znaleźć celu podobnego zachowania, byłam pewna, że mój obecny kochanek jest dobrym aktorem.

A on był człowiekiem, który miał na swoim koncie traumatyczne przeżycie. Zapewne to wpłynęło na jego charakter w taki, a nie inny sposób, i stworzyło wyjątkowego na swój sposób mężczyznę.

Mężczyznę, którego chciałam zatrzymać przy sobie z dnia na dzień bardziej i o którego rychłym odejściu myślałam z coraz większym przerażeniem.

- Hej, znowu odpływasz? - Dotknięcie w ramię wyrwało mnie z zamyślenia.

Spojrzałam w górę: Vae z szerokim uśmiechem trzymał przede mną koniec żyłki z szamoczącą się na haczyku rybą. Okoń, naprawdę duży, rzucał się na boki, ochlapując mnie wodą.

- To przez to, co mówiłeś. Niesamowita historia. - Poderwałam się szybko. - Aż mi się wierzyć nie chce - dodałam głupio.

- Twój problem, wierzysz, czy nie. - Złapał łeb ryby i ścisnął mocno, otwierając szeroko jej pysk. Wsunął do środka palec i uwolnił tkwiący w środku haczyk. - No, to mamy kolację, mała.

Wiedziałam, że od teraz wszystko się zmieni. Że będę inna. Czułam, że coś w moim wnętrzu przejrzało na oczy i zaczęło zauważać rzeczy naprawdę ważne.

Byłam pewna, że zostawiając za sobą te wakacje, zostawię też część siebie. Dziecinną, samolubną, głupią część, która omal nie sprowadziła mnie na dno. Miałam do niego tak blisko: prawie widziałam w nim własne, wykrzywione w parodii uśmiechu żałosne oblicze.

Jedną część siebie zostawiałam, inna umierała sama z siebie. Przestałam być... dzieckiem.

Stojąc z papierosem na balkonie sypialni, wypuszczałam z płuc chmury dymu, patrząc na płynące leniwie po ciemnym niebie jasne obłoki.

Podobne do tych, które podziwialiśmy razem. Wczoraj.

- Patrz, ta wygląda jak ciasteczko. - Wskazałam w prawo.

- Faktycznie. Choć powinna być podobna do ciebie, ty jesteś ciasteczkiem. - Połaskotał mnie w policzek.

Leżeliśmy na piasku, mocząc nogi w płytkiej wodzie przy brzegu, gapiąc się w przepływające nad nami chmury. Jak dzieci doszukiwaliśmy się w nich znajomych kształtów, chichocząc z wymyślanych przez nas porównań.

Coś dotknęło mojej lewej stopy. Dotknęło, odsunęło się i przylgnęło do niej, poruszając się lekko. W pierwszej chwili pomyślałam, że to Vae, ale on leżał po mojej prawej stronie. Usiadłam, patrząc na to, co mnie dotykało.

- KURWA MAĆ, ZABIERZ TO ODE MNIE, JA PIERDOŁĘ!

- wrzasnęłam, widząc unoszące się na powierzchni truchło jakiegoś zwierzęcia.

Zerwałam się i uciekłam do domu, w drodze zrzucając z siebie ubranie. Musiałam iść pod prysznic. Koniecznie

musiałam wyszorować miejsce, którego dotykało pływające w jeziorze paskudztwo. Mimo iż wiedziałam, że w zbiorniku tej wielkości zdarza się trafić na podobne niespodzianki, czułam się brudna i przerażona.

Stojąc pod gorącym strumieniem, szorowałam nogę od stopy do kolana, chcąc pozbyć się obrzydliwego wspomnienia. Skórę miałam zaczerwienioną od tarcia szorstką gąbką, ale wciąż czułam mokry, zimny dotyk sierści martwego zwierzęcia.

- Przestań, zrobisz sobie krzywdę. - Vae wyjął mi gąbkę z dłoni. - To tylko padły szczur, mała.

- Tylko? Tylko? - Trzęsłam się. - Dotykał cię kiedyś trup?

- Nie.

- No widzisz? Nie wiesz, jakie to paskudne. - Zakręciłam wodę. - Przez rok nie wejdę do jeziora, o nie.

- Ja dotykałem trupa.

- Co? - Poderwałam głowę.

- Dotykałem zwłok. Chłopca.

- Robisz sobie ze mnie jaja? - Owinęłam się ręcznikiem. - Dotykałeś martwego człowieka? Mam w to uwierzyć?

- Nie powiedziałem, że to był człowiek. - Vae zdjął z wieszaka drugi ręcznik i zaczął wycierać mi włosy.

- Powiedziałeś: chłopca. Nie psa, świni, konia czy czegoś tam. To chyba logiczne, że człowieka.

- Wierzysz w istnienie Yeti? Ufo? Potwora z Loch Ness? - spytał, zbijając mnie tym z tropu.

- Macałeś zwłoki ufoludka? - Spojrzałam na niego sceptycznie. - Nie wierzę w podobne bajki, jeśli już chcesz

wiedzieć. To produkt chorych umysłów, szukających sensacji. Wiesz, krzykniesz: WIDZIAŁEM YETI! I od razu stajesz się sławny, masz swoje pięć minut. - Odchyliłam się w tył, pozwalając mu dopieszczać swoje loki.

- Wierzysz w Drugą Rasę? - rzucił niedbale.

- Nie bardziej niż w anioły, zombie czy inne, podobne bzdety.

- A jeśli powiem, że widziałem i dotykałem zwłok jednego z nich? - Pochylił się nade mną, patrząc w uwagę.

- To ja powiem: udało ci się odwrócić moją uwagę od szczura w jeziorze, ale teraz przesadziłeś. Nie ma Drugiej Rasy. To bajka. - Parsknęłam śmiechem.

Druga Rasa. Mityczna, opisywana w literaturze powszechnej i naukowej, ale tak samo prawdopodobna w swoim istnieniu jak Minotaur. Wymyślona na potrzeby znudzonych ludzi, podobno poddająca się kultowi krwi. Nie bardzo wiedziałam, czy kąpią się w niej na podobieństwo Elżbiety Batory, czy piją ją, udając Drakulę. Miałam to głęboko w dupie.

- Zanim tu dotarłem, spotkałem młodego chłopca. Przysiadł się do mnie w barze. - Vae mówił, nie zważając na mój sceptycyzm.

- Martwy? - Pieprznęłam śmiechem. - Mówiłeś, że nie żył.

- Wtedy żył. Był głodny, więc kupiłem mu hamburgera czy coś tam, nie pamiętam. Zaczęliśmy rozmawiać. Powiedział, że...

- Tak, przysiadł się do ciebie i zaczął o sobie gadać. - Przerwałam mu, nieco wyprowadzona z równowagi.

- Powiedział, że szuka swojej matki, która zostawiła go zaraz po urodzeniu.

- No to niezła suka musiała z niej być - wtrąciłam. - Ja nie porzuciłabym swojego. - Wytarłam się i nałożyłam wyjęte z szafy ubranie.

- Miała mieszkać gdzieś w pobliżu, w małej wiosce.

- A, wieśniaczka. No to mogła bać się o swoją dupę i podrzucić komuś dzieciaka. Pewnie puściła się gdzieś i zaszła.

- Dwa dni po tym zobaczyłem go znowu. Martwego. Wieśniacy zatłukli go jak psa po tym, jak przyuważyli go przy jednej z krów.

- Dymał ją? - Spojrzałam na Vae, rozbawiona. Naprawdę, facet miał wyobraźnię. I pomysł, jak odsunąć ode mnie myśli o macającym mnie martwym szczurze.

- Nie, mała. Przyłapali go na picciu jej krwi.

- Ja pierdzielę. Gdybym złapała kogoś na czymś takim, sama sięgnęłabym po nóż.

- Zabiłabyś go tylko dlatego, że jest inny?

- Jeśli ta cholerna Druga Rasa jeszcze istnieje, powinno się ją wytłuc do ostatniej sztuki. - Westchnęłam, znudzona. - Dobra, skończ. Robi mi się niedobrze. Rozumiem, że czytasz te wszystkie książki o wampirach, ale nie karm mnie bajkami na ten temat. - Pocałowałam go, żeby przestał gadać.

Przestał. Znów wylądowaliśmy w łóżku, a ja zapomniałam o tym, co mówił.

Wszystko się zmieniło, zostałam sama. W pustym domu,

z pustą służbówką, w której oknach ani na moment nie pojawi się już światło.

Ten rodzaj samotności jest gorszy niż inne. Gorszy niż świadomość, że ktoś bliski twojemu sercu zmarł. Wtedy wiesz, że go nie ma, odszedł poza zasięg twoich żywych ramion. Ale jeszcze gorsza jest świadomość, że ktoś odszedł, bo cię nie chciał.

Choć może w tym przypadku to nawet lepiej?

Vae wracał do domu. Oznajmił mi o tym tak po prostu, godzinę temu, leżąc na mnie i pieprząc bez pośpiechu. Mówił o powrocie już wcześniej, ale dotąd miałam nadzieję, że zmieni plany. Chciałam, żeby poczekał, pojechał ze mną do miasta, został. Dwa spędzone wspólnie tygodnie to dla mnie za mało. Chciałam ich więcej, dziesiątki, może nawet setki. Chciałam każdej nocy czuć na sobie ciężar jego ciała, a raniem czuć, jak budzi mnie, łaskocząc w nos.

Mogłam sobie chcieć.

- Kurwa - syknęłam, wyrzucając niedopałek na trawę za domem. Oparłam się o barierkę i zapatrzyłam na jezioro.

Nie chciałam jeszcze wracać do pokoju. Bałam się, że rozplączę się, przypominając sobie jego słowa.

- Nie rób tego, mała - powiedział.

- Czego? Tego? - Ścisnęłam go znów za pośladki, mocno wbijając w nie paznokcie. Tym razem nie zrobił tego, co poprzednio, nie pchnął bioder w przód, za to spojrzał na mnie z góry ze smutnym uśmiechem.

- Nie zakochuj się we mnie.

- Nie mów nigdy dziewczynie, żeby czegoś nie robiła. Nie

posłucha. - Próbowałam obrócić wszystko w żart. Nie umiałam powiedzieć wprost, że już za późno na podobne słowa z jego strony. Na cokolwiek.

- To nie ma sensu, mała, choćbyś prosiła, nigdy nie będę twój.

To było okrutne. Tym bardziej, że jego wzrok mówił mi: „Wiem”.

Uderzyłam go w twarz. Raz, potem drugi. Chciałam go zranić. Podrapać do krwi, rozorać skórę, zmusić, żeby odwołał swoje słowa.

Chciałam przewinąć akcję o kilka minut wstecz i zatrzymać, żeby ich nie usłyszeć. Zmienić scenariusz, podetknąć mu pod nos kartkę z napisanym przeze mnie tekstem i dopiero po tym znów nacisnąć „Play”.

- Kurwa! - jęknęłam, trzęsąc się z emocji, nie mogąc pozbyć się sprzed oczu niedawnej sceny.

Trzymał mnie za ręce, nie przestając pieprzyć, jakby moja wściekłość ani odrobinę mu nie przeszkadzała. Marzyłam, żeby pochylił się, bo wtedy mogłabym go ugryźć, ale trzymał głowę poza moim zasięgiem, równocześnie przygniatając sobą do materaca. Krzyczałam, żeby mnie puścił, wyzywałam, kazałam wypierdalać jak najdalej ode mnie, kopałam, a on nadal leżał na mnie, nie odzywając się słowem, i - z czego zdałam sobie sprawę dopiero teraz - gwałcił. To już nie był seks. Nie to, co było wcześniej.

Trzymając mnie za nadgarstki, podniósł się.

- Obróć się.

- Spierdalaj - prychnęłam w jego stronę.

Poderwał mnie, równocześnie wykręcając mi rękę. Choć tego nie chciałam, ból zmusił mnie do uległości.

Kłęczałam na łóżku, obrócona plecami do niego, krzycząc pod jego adresem najgorsze przekleństwa.

- Za pierwszym razem wziąłem cię jak sukę i tak samo zrobię teraz.

Ton, jakim to powiedział, kazał mi się zamknąć.

To już nie były przepychanki obrażonych kochanków. Ani udawanie, mające na celu podniecić jedną lub obie strony. Czułam, że oporem narażam się na niebezpieczeństwo.

Byłam słabsza, do tego sama. Nie mogłam liczyć na niczyją pomoc.

Bałam się, że mnie zabije. Udusi. Skręci kark. Zawlecze do jeziora i utopi. Że zrobi wszystkie te rzeczy naraz.

Czułam, jak wbija się we mnie, mocno i brutalnie. Nie byłam już podniecona. Nie czułam bólu, ale nie czułam też przyjemności. Byłam zobojętniała.

Trzymając mnie jedną ręką za nadgarstki, drugą odsunął mi włosy i złapał zębami za kark. Nagle przed oczami zobaczyłam okonie, noszące na sobie ślady ugryzień, martwe, wiszące na przewleczonej przez ich ciała linie...

Krzyknęłam. Zęby Vae wbijały mi się w skórę, czułam, jak ranią mnie do krwi, zagłębiają się w ciało. Piekący ból prawie mnie sparaliżował, nie wiem nawet, ile czasu Vae tkwił tak, wbity we mnie na dwa sposoby. Zaczęłam płakać.

- Nie zabijaj mnie. Przepraszam, jeśli zrobiłam coś złe, przepraszam... - Łkałam, błagając o życie.

Puścił mnie.

- Nigdy bym cię nie zabił, Yas-o-mine - szepnął mi do ucha. Chwilę później usłyszałam trzaśnięcie drzwi.

Objęłam się ramionami. Nie wiem, która mogła być godzina. Trzecia? Czwarta? Nie wiem. Nie obchodziło mnie to.

Wróciłam do pokoju, zamykając za sobą balkon. Byłam osłabiona, dlatego mimo ciepłej nocy czułam chłód. I dlatego trzęsłam się, nie mogąc ustać na nogach bez podpierania się o coś. A przynajmniej nie dłużej niż kilka minut.

Padłam na łóżko szczęśliwa, że mogę po prostu leżeć. Dotknęłam pulsującej bólem opuchlizny na karku. Po raz chyba setny od chwili, gdy ON opuścił mój dom.

Przed wyjściem na balkon obejrzałam ją, wyginając się przed lustrem w łazience.

A teraz pod palcami miałam to, co w nim zobaczyłam. Dwie bliźniacze, głębokie, bolesne rany, wyglądające jak filmowa charakterystyka z filmów o wampirach. O Drugiej Rasie.

Natrętne dzwonienie nie pozwalało mi spać. Zignorowałam kolejne siedem sygnałów i odetchnęłam z ulgą, gdy telefon umilkł. Prowadziłam z nim wojnę, w której jak na razie wygrywałam. Nie chciałam jeszcze z nikim rozmawiać. Może później, za godzinę, dwie. Za rok.

Zwinęłam się pod kołdrą, na powrót wpadając w dziwny półsen. Nie trwał długo. Telefon znów rozkrzyczał się na komodzie, wpędzając mnie powoli we wściekłość. Chciałam spokoju, czy to, kurwa, tak wiele?

Zwlekłam się niechętnie z łóżka i sięgnęłam po upierdliwy aparat, nie patrząc, kto dzwoni.

- Czego, kurwa? - warknęłam, przystawiając go do ucha. Przez chwilę słyszałam tylko szum, jakby ktoś robił mi głupi kawał, dopiero po chwili rozległ się zaniepokojony głos matki.

- Wszystko w porządku, dziecko? Dlaczego nie odbierasz?

- Przecież odebrałam - stwierdziłam z tępą logiką. Wolną ręką sięgnęłam do karku, macając opuchnięte rany po... kłach? Zaśmiałam się cicho: kto by pomyślał, że zostanę kiedyś ugryziona przez szaleńca, który wmówił sobie, że jest Drakulą.

„Muszę to odkazać, ten idiota mógł mieć wściekliznę. Zdrowi ludzie nie gryzą innych”.

- Yasmine, co tam się dzieje? - Mama huknęła mi do ucha.

- Nic, co ma się dziać? Dopiero wstałam, nie piłam jeszcze kawy, więc nie kojarzę - wyjaśniłam zgodnie z prawdą.

- Kochanie, co robiłaś w nocy? Zaczynam się martwić, u ciebie już prawie wieczór, a ty dopiero wstałaś? - Słyszając słowa mamy, spojrzałam na wyświetlacz zegara na wieży: ups, rzeczywiście, było po szóstej.

„Co robiłam? Nic wielkiego, mamó. Zostałam zerżnięta, przestraszona i pogryziona, a na koniec porzucona. Nie martw się, straciłam tylko trochę krwi, już nawet nie kręci mi się w głowie”.

- Nie byłam na żadnej imprezie, jeśli o to ci chodzi. - Westchnęłam w słuchawkę. - Zasiałam się do rana i tyle.

- Sama? - Następne pytanie nieco mnie wkurzyło. Nie lubiłam być przesłuchiwana i podejrzewana o cholera wie co.

- Sama. Nie byłam nigdzie, nie zapraszałam nikogo, a tatusiowy pupilek wyniósł się w diabły, bo zatęsknił za rodziną. Spakował plecaczek, zawinął swoją chudą dupę i nawet nie powiedział „papa”. - Podniosłam głos, nakręcając się niepotrzebnie własnymi słowami. - Nie skorzystałam z wolnej chaty i nie urządziłam dzikiej orgii z osłem w roli głównej!

- Nie musisz na mnie krzyżeć. - Ton matki ochłodził się wyraźnie.

- Przepraszam. - Akurat, strasznie. Ona zaczęła przesłuchanie. - Kiedy będziecie w domu? - Zmieniłam temat, chcąc uniknąć dalszych pytań i wyrzutów.

- Jutro, najpewniej zaraz po południu. Czekaamy właśnie na swój lot.

- Świetnie, tęsknię za miastem - mruknęłam. Tęskniłam nie tyle za miastem, ile za ludźmi, ich obecnością, która zajęłaby mi cały czas.

- Muszę kończyć, kochanie, wzywają pasażerów. Do jutra - powiedziała i rozłączyła się.

I dobrze, bo nie wiedziałam, co mówić, choć na usta pchało mi się tysiąc słów skargi. Nie były jednak przeznaczone dla niej. Nie chciałam przyznać się własnej matce do tego, co robiłam przez ostatnie kilkanaście dni. Nie chciałam zobaczyć jutro w jej oczach litości czy żalu, nie chciałam wysłuchiwać wymówek.

W samej koszulce powlokłam się na dół. Idąc po schodach, usłyszałam znów dzwonek telefonu. Zawróciłam, licząc sygnały: siedem, osiem, dziewięć... Spojrzałam na

wyświetlacz: dzwoniący miał zastrzeżony numer.

- Słucham? - odezwałam się ostrożnie. Przez myśl przeleciało mi, że coś stało się z samolotem rodziców, ale po chwili przypomniałam sobie, że nawet nie wsiedli jeszcze na pokład. - Halo? - powtórzyłam, czekając, aż ktoś się odezwie.

Po drugiej stronie panowała cisza, docierał do mnie tylko cichy szum, zwykły przy każdym połączeniu. Szum i ledwie słyszalny oddech tego, kto dzwonił.

- To wcale nie jest zabawne - powiedziałam, rozzłoszczona. - Halo? - Nadal nic, żadnej reakcji. - Dobra, zboczeńcu, spierdalaj na drzewo. - Rozłączyłam się.

Przez chwilę stałam, pewna, że lada chwila telefon znów się odezwie, ale milczał, więc rzuciłam go na łóżko i poszłam zrobić sobie kawę.

Późna pobudka ma swoje uroki, takie jak ominięcie największego upału czy zabijanie czasu nudnymi zajęciami, ale miała też swój minus: przede mną była perspektywa następnej nieprzespanej nocy. Potrzebowałam zajęcia. Czegóż, co mnie zmęczy, wykończy, pozwoli paść na pysk.

Sprzątnęłam dom, skrupulatnie, pomieszczenie za pomieszczeniem, do dziesiątej krążąc ze ścierkami, gąbkami, płynami do mycia mebli... Wszędzie pachniało czystością, tylko w moim pokoju unosił się inny, do niedawna pożądanym przeze mnie zapach. Teraz nie chciałam go czuć.

Nerwowo i pospiesznie zerwałam przesiąkniętą męską wonią pościel i zaniiosłam na dół, od razu nastawiając pranie. Wsypałam podwójną ilość proszku i zaprogramowałam pralkę na dodatkowe płukanie.

Próbowałam obejrzeć coś w telewizji, ale przestałam słyszeć dialogi w filmie po mniej więcej pięciu minutach. Poszłam do siebie, zapaliłam papierosa i wyszłam na balkon. Może lepiej dotleniona poczuje się senna, inaczej czekało mnie przewracanie się na posłaniu do białego rana.

Za dużo godzin, za dużo pustki, za dużo myśli. Te ostatnie zaczęły krążyć wokół mnie jak sępy, czekając, aż poddam się i pozwolę, by mnie obsiadły.

Nie, nie dam się tak łatwo.

Skończyłam palić i siadłam na łóżku z laptopem na kolanach. Włączyłam przeglądarkę i wpisałam hasło.

Nigdy nie interesowałam się niczym poza sobą i kilkoma przyziemnymi sprawami świata. Zapłaconymi rachunkami, pełną lodówką, pełną kartą kredytową, pełną szafą. Pełną butelką. Nie potrzebowałam do szczęścia fantastycznych opowieści o odwiedzinach kosmitów czy spotkaniach z innymi stworami. Takimi jak, na przykład, przedstawiciele Drugiej Rasy. Ale teraz, pogubiona we wczorajszych wydarzeniach, z prawdziwym ugryzieniem na karku, chciałam dowiedzieć się więcej.

Kliknęłam w pierwszy link z listy wyników i przebiegłam wzrokiem wyświetlony tekst. Wróciłam do pierwszej linijki i zaczęłam czytać.

- Kurwa... - jęknęłam, będąc gdzieś w połowie. - Nie! - krzyknęłam, skończywszy czytać, po obejrzeniu załączonych do całości zdjęć. Z trzaskiem zamknęłam komputer. - Vae, kim ty jesteś? CZYM jesteś?

W swoim małym, ciasnym świecie żyłam jak pod kloszem,

nie znajdując w nim miejsca na nic poza mną. Odrzucałam wszystko, co mnie nie interesowało: politykę, religię, historię... Byłam płytką, głupią pindą, nikim więcej.

Druga Rasa istniała. Nie była wymysłem, choć za taki miała ją większość ludzi. Widziałam zdjęcia martwych mężczyzn z Drugiej Rasy. Czytałam doniesienia i raporty badających zwłoki naukowców. Poznałam różnice między nami a nimi.

I nadal nie wierzyłam, by Vae mógł być jednym z nich. Nie, nie, on był po prostu chorym człowiekiem, który ubzdurał sobie, że jest wnukiem Nosferatu.

Nie chciałam myśleć o tym, co się stało. Nie chciałam pozwolić sobie na litość nad sobą, rozpamiętywanie, ale wiedziałam też, że nie mogę w nieskończoność dusić w sobie złości, żalu i bólu. W którymś momencie to i tak by we mnie wybuchło, a im dłużej będę tłumić w sobie emocje, tym większymi fajerwerkami się objawią. Bałam się, że zobaczywszy mamę, ujrawszy ciepło w jej oczach, nie wytrzymam, padnę jej w ramiona i wszystko wyśpiewam, płacząc nad swoim marnym losem. Jak miałam wytłumaczyć, że jej żalosna córka dała się omamić, uwieść i na koniec zakochała się w...

Melodia z telefonu przywróciła mnie do rzeczywistości.

Refren z „Wish I had an Angel” grał co chwilę od nowa, dopóki nie odebrałam połączenia.

Wyświetlacz znów poinformował mnie, że dzwoniący ma zastrzeżony numer.

- Słucham? - spytałam.

Cisza. Nikt nie odezwał się słowem, tak samo jak przedtem. Słyszałam tylko cichy oddech po drugiej stronie. Nie dyszenie masturbującego się faceta, tylko normalny, spokojny oddech kogoś, kto trzymał telefon przy twarzy i milczał.

- Zostaw mnie w spokoju. Proszę. - Skuliłam się w sobie. - Proszę. - Tym razem mówiłam przez łyżę. - Proszę - powtórzyłam po raz trzeci.

Rozłączył się.

Upuściłam telefon na podłogę. Wiedziałam, że to on.

- To jest naprawdę piękne - powiedziałam, okręcając się wokół własnej osi, przebrana w indyjski strój. - Mamo, masz zajebisty gust.

- Czerwony pasuje do twojej ciemnej cery. W Indiach byłabyś piękną panną młodą, jeszcze tylko malunki na dłoniach i...

Bla, bla, bla...

Słuchałam komentarzy matki piąte przez dziesiąte. Ze sztucznym uśmiechem, starając się wyglądać tak jak zwykle. Czyli pusto, bezmyślnie. Miałam cieszyć się tym, co mi przywiozła, pomijając własną opinię. Być może sama nauczyłam ją tego, że nie mam własnego zdania.

Kiedy zacznę być sobą?

Wciąż ubrana w tradycyjne indyjskie sari, szczerząc się w uśmiechu, który dla niej był objawem radości, mnie zaś przypominał pozbawioną ciała czaszkę, oglądałam kolejne prezenty.

Umiałam kryć swoje emocje. Udawać, że wszystko jest w porządku. Umiałam to tak dobrze, że nie narażałam się na żadne pytania ze strony rodziców.

Byłam kurewsko dobrą aktorką, skoro nawet moja matka nie zauważyła niczego niezwykłego w moim zachowaniu. Osoba, która zawsze była na wszystko najbardziej wyczulona. A teraz? Brała za dobrą monetę każdy mój uśmiech, słowo...

Ukryty pod ubraniem telefon dał o sobie znać, wibrując. Wyciszyłam dzwonek, ale aparat nosiłam przy sobie, powieszony na długiej smyczy.

Chciałam, żeby odezwał się po raz kolejny, choć od kilku godzin nie odbierałam połączeń z zastrzeżonego numeru.

- Przepraszam, muszę siku. - Usprawiedliwiłam się, uciekając z salonu. Zamiast do łazienki na dole, pobiegłam do swojego pokoju.

Tym razem nie było to nieodebrane połączenie, ale MMS. Wiadomość z tego samego, anonimowego źródła.

Niecierpliwie czekałam na mający pojawić się obraz. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność.

- Nie chcę cię widzieć, nie wysyłaj mi swojego zdjęcia, nie tęsknię... - mamrotałam naprędce wymyśloną modlitwę, kierowaną pod jego adresem.

Nie tęskniłam. Nie chciałam go widzieć. Byłam wściekła, że po wszystkim nadal zakłóca mi spokój, złośliwie odgrywając się za coś czy dla zabawy.

Spojrzałam na wyświetlacz telefonu, spodziewając się zdjęcia szczerzącego kły Vae.

Zamiast tego zobaczyłam... drogę. Pustą, ginącą w mroku

wczesnego wieczoru, z widocznym u góry zwieszającym się nad asfaltem konarem. Po prawej stronie drogi stał znak, nakazujący ograniczenie prędkości, za nim widać było ciemną wyrwę między drzewami.

- Co, kurwa...

Podniosłam głowę. Znałam to miejsce. Pamiętałam je z niezliczonych podróży między moim domem i posiadłością rodziców. Ilekroć przejeżdżałam pod ciężkim konarem, zastanawiałam się, kiedy oderwie się od pnia starego drzewa i zatarasuje szosę.

Zaraz za nim znajdował się niewielki zjazd dla chcących odpocząć kierowców.

- Co... - Zerknęłam za okno. Było późno, zapadała noc. Tak samo, jak na wysłanej do mnie fotce. - Ty drętwy chuju. - Poderwałam się w miejscu. - Ty... Skurwysyńsko wielki kutasie pozbawiony jaj!

Złapałam w dłoń leżące na komodzie kluczyki i zbiegłam na dół. Nie zważałam na późną porę.

- Mamo? Muszę coś załatwić, wracam za pół godzinki! - krzyknęłam, pędząc do garażu.

Wyprowadziłam z niego Cukiereczka, prawie ocierając górą przedniej szyby o otwierający się powoli wyjazd.

Spieszyłam się jak nigdy w życiu, napompowana złością, chęcią mordy i zemszczenia się za wszystko. Zaśmiałam się dziko na myśl, że powinnam wrócić i zabrać z sobą zaostrzony kółek, którym ukatrupię wampira. O ile ten chudy dupek naprawdę nim był.

Z piskiem opon wystartowałam spod domu, rzucając

bluzgami pod adresem Vae. Miałam gdzieś, czy jest, czy nie jest człowiekiem. Marzyłam, żeby jeszcze raz stanąć z nim twarzą w twarz i odpłacić się za to, co mi zrobił. Choć zawdzięczałam mu inne spojrzenie na siebie – to, że pokazał mi lepszą drogę – byłam rozgoryczona. I wściekła.

Jechałam bardziej na pamięć, niż patrząc na szosę przed sobą. Im bliżej byłam celu, tym więcej przekleństw sypało się z moich ust. I tym bardziej byłam gotowa na walkę w obronie siebie.

Zwolniłam przed uwidocznionym w MMS-ie znakiem i zjechałam w prawo, do pozbawionej drzew zatoczki przy drodze. W panujących dokoła ciemnościach światła reflektorów Chevy'ego bardziej mnie oślepiały, niż pokazywały okolice.

- Gdzie jesteś, pierdolony tchórze? - krzyknęłam, wysiadając. - No gdzie? Nie miałeś odwagi odezwać się przez telefon? - Stałam przy samochodzie, kurczowo trzymając się otwartych drzwi. - Co masz mi do powiedzenia, jebańcu? - krzyknęłam prowokacyjnie.

Czekałam na odpowiedź, usiłując obserwować całą okolice. Niewiele widziałam, patrząc na zmianę tam, gdzie świeciły światła Cukiereczka, to znów próbując rozróżnić cienie w innych miejscach. Kręciłam się we wszystkie strony, dysząc ze zdenerwowania.

W końcu, po dobrych dziesięciu minutach, doszłam do wniosku, że bawił się mną po raz kolejny. Mógł stać gdzieś w ciemnościach i śmiać się, że jak ostatnia naiwna przyjechałam i robiłam z siebie pajaca. Równie dobrze mógł

być daleko stąd, wysyłając mi zrobione kiedyś tam zdjęcie.

- Nienawidzę cię! - krzyknęłam pod jego adresem.

Wsiadłam do samochodu i rozpłakałam się ze wstydu, bezsilności i zawodu. Oparłam głowę na splecionych na kierownicy rękach. Przestałam płakać równie szybko, jak zaczęłam, ale nadal tkwiłam z czołem opartym o przedramiona.

Nie wiem, ile czasu spędziłam, siedząc tak i przeczekując własną słabość. Mogło minąć kilka minut, ale równie dobrze mogłam spędzić tak pół nocy.

Sięgnęłam do odtwarzacza, chcąc włączyć radio i sprawdzić godzinę.

Coś ukłuło mnie w lewe ramię. Ostre żądło wbiło mi się w ciało. Zamarłam, widząc w wyobraźni wielkiego komara lub innego nocnego owada, siedzącego na mojej ręce.

Zrobiło mi się słabo. Brakło mi sił, żeby obrócić głowę i spojrzeć w lewo. Zerknęłam w boczne lustro: w falującym przed oczami obrazie nie umiałam rozróżnić żadnego znanego mi szczegółu. Granatowa plama z kilkoma lśniącymi punktami nic mi nie mówiła.

Próbowałam sięgnąć do stacyjki i uruchomić silnik, ale ręce odmawiały mi posłuszeństwa. Opadały jak wiotkie gałązki wierzby.

Chciałam coś powiedzieć... Usłyszałam tylko słaby, żalony pisk, wydobywający się z moich ust.

- Cześć, mała. - Dobrze znany mi głos rozległ się ze wszystkich stron naraz. - Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz. - Podobna do księżycy twarz pojawiła się przede

mną. Śmieszne: nigdy wcześniej księżyc nie miał oczu. Do tego zielonych, lśniących jak fluorescencyjne światełka. - Pożegnałaś się z rodzicami?

Leżałam na tylnym siedzeniu obcego samochodu. Tyle zauważyłam w pierwszej chwili po przebudzeniu. Mój wzrok, jeszcze niezbyt przytomny, wędrował po wnętrzu wozu, jadącego po nierównym terenie. Trzęsło, bujało i kołysało, jakbyśmy jechali przez zabitą dechami wiochę, w której nikt nie słyszał określenia „asfaltowa droga”.

Bolała mnie głowa, w ustach miałam pustynię, a dokładniej ten jej kawałek, na który niedawno odlał się wielbłąd. Cóż, dla mnie to raczej żadna niespodzianka.

Nie bardzo wiedziałam, gdzie i z kim jestem. Pewnie znów zachlałam gdzieś, balując na weekendówce, a teraz ktoś litościwie wiozł mnie do domu. Adam? Zawsze umiał mnie znaleźć, gdzie i z kim bym nie poszła. Kochany Adaś odbierał mnie i odstawiał na chatę.

Ziewnęłam i przeciągnęłam się, potem chciałam podrapać się w swędzące udo. Nie mogłam.

- Co, kur... - wycharczałam pół słowa, zadzierając głowę. Gapiłam się w górę, na swoje ręce. Były oplecione linką, przywiązaną do uchwyty nad drzwiami.

- Nie śpisz już. - Głos kierowcy do reszty przywrócił mi przytomność. I pamięć.

Otrzeźwiałam, w jednej chwili mając przed oczami wszystko, co wydarzyło się... wczoraj? To, jak wybiegam z domu, ubrana w idiotyczne, czerwone sari, jak jadę, pędząc

na granicy bezpieczeństwa, we wskazane mi MMS-em miejsce. Przypomniałam sobie, jak darłam się w ciemność, jak biegałam dokoła Cukiereczka, bluzgając lepiej niż niedopity szewc, a potem płakałam ze złości, siedząc za kierownicą.

Na koniec przypominałam sobie moment, w którym traciłam przytomność, niesiona gdzieś przez...

- Vae? - odezwałam się z niedowierzaniem. Mój głos brzmiał okropnie, skrzypliwie i głucho.

- Tak, mała? - On, dla odmiany, brzmiał jak oaza spokoju. - Zaraz dam ci się napić.

Poczułam, że samochód zwalnia i zatrzymuje się. Facet obrócił się na fotelu, wziął coś z podłogi z tyłu i podał mi butelkę z wodą.

- Wybacz, zapomniałem. - Uśmiechnął się lekko. Odkręcił wodę i przytknął mi flaszkę do ust. Wypiłam prawie połowę, zalewając sobie przy tym brodę i szyję. - Więc, co chciałaś? - spytał, zakręcając butelkę. Usiadł bokiem, oparł się łokciem o kierownicę i patrzył na mnie.

Rozejrzałam się uważnie, próbując dojrzeć jak najwięcej szczegółów za oknami wozu. Niewiele tego było: albo czyste niebo, albo pnie i konary drzew.

Próbowałam zebrać myśli: nie chciałam wydrzeć się jak bohaterka filmu klasy B, szarpać więzów czy robić podobnych rzeczy. Nie chciałam go drażnić.

- Gdzie ja jestem? - spytałam ostrożnie.

- W moim wozie.

- Przecież widzę, że nie w samolocie, dupku - wyrwało mi się. Natychmiast pożałowałam własnej porywczwości: pewnie

zaraz strzelił mnie w głowę za pyskowanie albo zrobi coś innego, żeby mnie ukarać.

Zaskoczył mnie: roześmiał się, chichotał, kręcąc głową, jakbym powiedziała zajebisty dowcip.

- Cała ty. To właśnie w tobie lubię, Yas. Ostra do końca. - Otworzył drzwi po swojej stronie i wysiadł. Patrzyłam, jak obchodzi pojazd, znikając mi na chwilę z oczu, słyszałam chrzęst kroków i myślałam tylko jedno.

„Powiedział: do końca. Matko Boska, za chwilę umrę. Zdechnę w tym wstrętnym, oczojebnym sari”.

Śmieszne, ale w obliczu rychłego zgonu martwiłam się tylko o to, jak jestem ubrana. Myślałam, że kiedyś ktoś znajdzie mój szkielet i wybuchnie śmiechem na widok tego, w czym zostałam zabita.

ZABITA?

Nie chciałam umierać. W jednej chwili z debilnego rozbawienia przeskoczyłam w czarną rozpacz. Panika zaczęła brać kontrolę nad umysłem: zaczęłam krzyczeć, sama nie wiem nawet co, ale wrzeszczałam, szarpiąc się i rzucając na siedzeniu. Czułam, jak linka wbija mi się w rękę, raniąc je do krwi. Kilka ciepłych kropli padło mi na twarz.

Drzwi za mną otworzyły się gwałtownie. Vae wcisnął się do wnętrza, łapiąc mnie za przedramiona. Mówił coś, ale nie słyszałam go przez własne, rozpaczliwe krzyki. Wiłam się, płakałam... W końcu uderzył mnie w twarz. Zamarłam. Policzek piekł mnie żywym ogniem w miejscu, z którym zetknęła się jego dłoń.

- Co ty wyprawiasz, dziewczyno? - syknął, pochylony nade

mną. - Chcesz zrobić sobie krzywdę? - Patrzył mi w oczy uważnie, z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Będzie bolało? - spytałam ledwie słyszalnie. Łzy ciekły mi do uszu i we włosy, ale nie mogłam przestać płakać.

- Bolało? - Uniósł brwi.

- Zabijesz mnie, prawda? Nie chcę, żeby bolało. - Nie bałam się już mówić o tym na głos. Pogodziłam się z faktem, że moje życie skończy się tu i teraz, w taki czy inny sposób.

Było mi tylko żal, strasznie żal wszystkich tych rzeczy, których już nie zrobię. Wszystkich dni i lat, które mi odbierał. Płakałam nad lepszą wersją mnie samej, z konieczności zmuszoną pozostać we mnie jako projekt, który nie ujrzy światła dziennego.

- Gdybym chciał cię zabić, zrobiłbym to dawno. - Vae wytarł mi twarz kawałkiem jakiegoś materiału. Wciąż płacząc, patrzyłam, jak odwiązuje linkę od uchwytu, rozplątuje węzły i uwalnia moje poranione nadgarstki. - Nie ciągnąłbym cię z sobą taki kawał drogi. - Wyrzucił linkę za drzwi.

- Więc dlaczego... - Odważyłam się zadać część pytania.

Spojrzał na mnie dziwnie. Patrząc, dotknął mojego policzka i pogładził go palcami.

- Muszę opatrzyć ci rany - powiedział. Opuścił mi ręce na dół, pokazując głębokie otarcia, potem uniósł je do swojej twarzy. Gapiłam się osłupiała, jak zlizuje jedną kroplę mojej krwi, potem drugą, następną i następną, cały czas patrząc mi w oczy. Ze strachu niemal przestałam oddychać, a te odrobiny powietrza, które udawało mi się zaczerpnąć, wpadały do moich płuc ze świstem.

- To nieprawda, to nieprawda, Jezu, to nieprawda... - jęczałam, a on spijał wszystko, lizał łapczywie, zostawiając skórę czystą, bez śladu krwi. Pisnęłam, gdy przesunął językiem wzdłuż jednej z ran.

Oblizwał usta.

- Prawda. - Zdjął z półki za siedzeniem apteczkę. - Jestem nim, mała. - Delikatnie owinął mi nadgarstki bandażem. Potem podciągnął mnie i pomógł usiąść. - Pokaż. - Pochylił mi głowę w przód, odsłaniając kark. Mruczając, oglądał własne dzieło. - Ślicznie, prawie zagojone.

- Czy ja się zmienię? - Musiałam spytać. Bałam się, nadal niepewna swojego losu, ale w moim umyśle pojawiła się nowa wizja, w której ten cholerny wampir przemieniał mnie w podobne sobie monstrum.

- Słucham?

- Czy ja też stanę się taka? Będę zabijać ludzi? - Ostatnie słowa mówiłam, znowu płacząc.

- Nie. Nie będziesz zabijać. - Krótka odpowiedź nie była wyczerpująca. - Przestań płakać, to do ciebie nie pasuje. - Wysiadł i zatrzasnął z hukiem drzwi. Podskoczyłam i skuliłam się na siedzeniu.

Wrócił za kierownicę i włączył silnik: ruszyliśmy w dalszą drogę gdzieś tam, dokąd mnie zabierał. Siedząc, mogłam widzieć, co mijamy.

Jechaliśmy po płaskim terenie gdzieś na wyżynie. Byłam przygotowana na widok stojących daleko domów, farm, wiejskich dróg, ale zamiast nich zobaczyłam niekończące się lasy, porastające ciągnące się we wszystkie strony wzgórze.

Zupełnie, jakbyśmy płynęli po ciemnozielonym morzu, mając aż po horyzont wzburzone fale. Nigdzie nie widziałam nawet śladu cywilizacji, najmniejszego okręcika, miasta.

Nie miałam pojęcia, gdzie jesteśmy.

Powoli zaczęłam analizować swoją sytuację.

Zostałam uprowadzona.

„Pożegnałaś się z rodzicami?”

Pytanie wróciło do mnie, uświadamiając smutną prawdę: dołączyłam do grona setek ludzi, którzy wyszli z domu i przepadli bez śladu. Których rodziny bez końca mają nadzieję jeszcze ich zobaczyć.

Miałam stać się następną twarzą na kartonie z mlekiem, kolejną fotką na słupie z podpisem: „Czy ktoś ją widział?”

Zostałam wyrwana ze swojego świata przez cholernego wampira, który właśnie wiozł mnie trzeszczącym pikapem, pośpiewując coś pod nosem. Było mu, kurwa, wesoło.

Złość zaczęła przywracać mi odwagę. Byłam wściekła nie ze swojego powodu, bo wiedziałam, że jakoś sobie poradzę, ale z powodu moich rodziców. O to, że przez tego palanta ich życie stanie się pasmem smutku, a potem ciągłą żałobą. O to, że za jakiś czas złożą w ziemi pustą trumnę i zapłaczą nade mną, a ja będę (być może) żyć gdzieś jako więzień pijącego krew szaleńca.

- Chcę wracać - rzuciłam zaczepnie. Stało mi się obojętne, czy mnie zabije, nie miałam do stracenia nic prócz siebie.

Zero odpowiedzi. Facet, nadal pośpiewując cicho, spojrział na mnie przelotnie w lusterku wstecznym.

- Głuchy jesteś? Chcę do domu. Natychmiast. -
Podniosłam głos.

- Dobrze. - Zatrzymał się. - Idź. - Obrócił się do mnie,
patrząc z politowaniem. - No już, wysiadaj, nie mam czasu
siedzieć i gawędzić. - Wskazał mi drzwi.

- Pojechało cię? Nie wiem, gdzie jestem. Masz mnie
odwieźć.

- Ani myślę. - Wysiadł, obszedł wóz i otworzył drzwi koło
mnie. Złapał mnie za rękę, prawie wywlekając na zewnątrz.
Długie, niewygodne sari zaplątało mi się wokół nóg i upadłam
jak długa. - Do domu masz kawałek, idź na północny zachód.
Jeśli się nie zgubisz, powinnaś dojść do pierwszych ludzkich
osad za jakieś cztery dni. Aha, i uważaj, bo tu roi się od
zwierząt. Jeśli zobaczysz wilki, wskakuj na drzewo. - Podniósł
mnie, mówiąc ze złością w głosie. - Gorzej, jeśli trafisz na
niedźwiedzia albo pumę, ale przypuszczam, że poradzisz sobie
i z nimi. Co najwyżej zwyzywasz je, jak to masz w zwyczaju. -
Pchnął mnie w stronę, z której przyjechaliśmy.

- Odwieź mnie. Mogłeś mnie porwać, możesz to jeszcze
odwrócić i oboje będziemy udawać, że nic się nie stało. -
Złapałam go za rękę i uwiesiłam się na niej jak rzep. - Wiesz,
że nie dojdę...

- Ooo, akurat z tym nigdy nie miałaś problemów -
przerwał mi ironicznie.

Na moment mnie zatkało. Ale tylko na moment.

- W dupie mam, kim albo czym jesteś, nie miałaś prawa mi
tego zrobić. Ani mi, ani moim rodzicom. Wiesz, co oni będą
przeżywać? - krzyknęłam, wkurzona. - Albo natychmiast

zawracasz i wiesz mnie do domu, albo...

- Albo co? - prychnął mi w twarz. - Zabijesz mnie? - Wyrwał rękę, złapał mnie za ramię i wepchnął z powrotem do samochodu. Praktycznie rzucił mnie na siedzenie. Wlazł za mną, dysząc głośno.

Pomyślałam, że chce mnie zgwałcić. Jak nic podkręcił się swoją władzą nade mną i miał zamiar sobie ulżyć. Czułam, jak chwyta mnie za przedramiona. Zaczęłam krzyczeć: nie chciałam go w sobie, nigdy więcej nie chciałam, żeby robił mi to, co ostatnio.

- Zamknij się wreszcie! - wrzasnął na mnie, prawie ogłuszając w małej przestrzeni pojazdu. Szamotaliśmy się dobrą chwilę, ale nie miałam szans. Byłam za słaba. Przestałam walczyć, bojąc się, że swoim oporem zmuszę go do czegoś gorszego niż gwałt.

Minutę później siedziałam na fotelu pasażera, przywiązana do niego długim sznurem. Nie mogłam się ruszyć.

Odwróciłam głowę, nie chcąc na niego patrzeć. Wbiłam wzrok w mijany krajobraz, rozpaczliwie szukając czegoś, co świadczyłoby o obecności ludzi. Bezskutecznie. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widziałam jedynie wzgórza, lasy i miejscami jaśniejsze połacie łąk.

Wciąż nie miałam pojęcia, czego ode mnie chciał. Co takiego zmusiło go do zrobienia ze mnie swojej zabawki. Głód krwi? Chęć posiadania własnego, ludzkiego niewolnika? Dziwki?

Nie chciałam dopuszczać do siebie myśli, że być może resztę życia spędzę w zapomnianym przez Boga miejscu,

zależna od widzimisię pierdolonego wampira. On nie miał prawa istnieć.

„Jezu, co tu się w ogóle dzieje? W co ja wdepnęłam?”.

Oparłam głowę o ramię i zaczęłam płakać. Tym razem dlatego, że uświadomiłam sobie własną bezsilność.

Poderwałam się, patrząc przed siebie niezbyt przytomnie. Najwyraźniej zapadłam w drzemkę.

Krajobraz za oknem zmienił się, zamiast łagodnych wzgórz miałam przed sobą wyższe wzniesienia o ostrych szczytach, częściowo pozbawionych drzew. Skaliste wieże wyrastały tu i tam, celując w czyste, popołudniowe niebo.

- Chce mi się siku - oznajmiłam, czując nieprzyjemne parcie na pęcherz. - I jestem głodna.

- Już niedaleko.

- Do czego? - Przestraszyłam się, znów myśląc o śmierci, torturach, uctowaniu na mojej krwi.

Nie odpowiedział. Zatrzymał się i mnie rozwiązał.

- Jeśli uciekniesz, to powodzenia. Nie będę za tobą biegał.

Wysiadając, pokazałam mu palec.

Schowałam się za najbliższe drzewo, zakasałam wciąż noszone paskudztwo i ulżyłam pęcherzowi, prawie zrobiwszy przy tym błogą minę. Rozglądałam się, szukając jakiegoś liścia. Sięgnęłam po dość duży, leżący przede mną. Był ciężki, jakby coś przylepiło się do jego spodniej strony. Ciekawa, obróciłam liść... i wydałam z siebie najgłośniejszy w całym swoim życiu wrzask. Pod liściem spokojnie siedział sobie wielki, włochaty pajak. Brązowy, o lśniących w popołudniowym

słońcu oczkach. Poruszył odnóżem.

Nie wiem nawet kiedy, a już gnałam w stronę samochodu, najbezpieczniejszego w tej chwili miejsca na świecie.

Rzuciłam się na szyję Vae, który wyszedł mi naprzeciw.

- Pająk, pająk, kurwa, chciał mnie ugryźć. - Trzęsłam się z obrzydzenia, ściskając go kurczowo.

- Spokojnie, mała. To las, normalne, że są tu pająki. - Gładził mnie po głowie, mruczając uspokajająco. Odsunął mi włosy z twarzy. Miałam zamknięte oczy, nie widziałam, co robi, ale poczułam jego ciepły oddech na policzku. Pachnący kokosem, słodki.

Pocałował mnie w skroń, delikatnie, tak jak robił to często... kiedyś.

Przez chwilę poczułam się właśnie tak jak wtedy, gdy wszystko było jeszcze inne, normalne. Znow obejmowały mnie silne, męskie ramiona, znow czułam jego ciepło, bicie jego serca, zapach, który wokół siebie roztaczał. Przez krótki moment nie chciałam pamiętać, gdzie jestem.

Ale tylko przez moment, bo w głowie pojawiło mi się pytanie: czy wampir nie powinien nie mieć tętna?

- Chcę wsiąść. - Wyswobodziłam się z jego uścisku.

Ruszyliśmy dalej, ale teraz nie byłam już związana. Siedziałam swobodnie. Dostałam paczkę herbatników i pogryzałam je, patrząc przed siebie. Widziałam zbliżającą się do nas górę, szerszą niż inne, za to wyglądającą jakby ktoś tępym nożem odciął jej wierzchołek. Wulkan?

- Co ze mną zrobisz? - spytałam.

Cisza.

- Będziesz pił moją krew, tak? Po to ci jestem potrzebna?

- Pewnie czasem się napiję. Jest dobra, mocna - odparł spokojnie, a mnie przeszedł lodowaty dreszcz.

- Będziesz mnie pieprzył, tak? Potrzebujesz dziwki i spiżarni w jednym? - Chciałam wiedzieć więcej.

Znów cisza, doprowadzająca mnie do pasji. Nienawidziłam, gdy ktoś ignorował mnie w jawny sposób.

- Kurwa, czy ty masz uszy jak foka i zatykasz je, gdy nie chcesz kogoś słuchać? Nie olewaj mnie, dupku - warknęłam.

- Powiedz mi, co jesteś gotowa zrobić, żeby przeżyć - spytał cicho, wybijając mnie z kontekstu. Miałam już przygotowaną piękną mowę, mającą przedstawić mu moją opinię o takich jak on.

Przyznam, że nie zrozumiałam, o co mu chodzi.

- Co? - Zdziwiłam się.

- Ile możesz poświęcić dla siebie i bliskich. Nie mówię o zabiciu kogoś, choć to też może stać się konieczne. Myślę o tym, czy mogłabyś poświęcić kogoś dla siebie. Kogoś obcego.

Tym razem pojęłam, o co mu chodzi.

- Poświęcasz MNIE, bo tak ci wygodnie? - Czułam, że krew odpływa mi z twarzy. - Kurwa, o czym ty do mnie mówisz?

- Zawahałabyś się, wiedząc, że musisz zrobić komuś krzywdę, bo inaczej... - Urwał. Nie patrzył na mnie, tkwił ze wzrokiem utkwionym przed siebie, jadąc prosto na skaliste, strome zbocze tego, co brałam za wulkan.

- Krzywdę? Zrobisz mi krzywdę? Powiedziałaś, że mnie

nie zabijesz, obiecałeś! - krzyknęłam. Rzuciłam w niego resztką ciastka, zmiętym opakowaniem, potem na ślepo wyjmowałam jakieś szpargały ze schowka i rzucałam w siedzącego jak słup mężczyznę. Zdawał się w ogóle nie zwracać na to uwagi.

Jechaliśmy wciąż prosto, choć przed nami rosła prawie pionowa skalna ściana. Zaczęłam krzyczeć, pewna, że Vae rozbije nas na niej, wprasuje pikapa w gładki kamień, że taki był jego cel. On pewnie przeżyje, ale ja nie byłam nieśmiertelna. Nie byłam wampirem.

Tuż przed skałą skręcił ostro w lewo: rzuciło mnie na drzwi, uderzyłam głową w szybę, przez chwilę zamroczona siedziałam, nie widząc, co się dzieje.

Dokoła było ciemno.

- Gdzie my...

- W jaskini. To przejście. Za nią jest mój dom. - Nim włączył reflektory, zdążyłam zauważyć, że jego oczy świecą w ciemnościach jak oczy wilka.

Zobaczyłam rozległą, ciągnącą się przed nami grootę, nierówną, pełną odłamków, na których koła wozu podskakiwały co kilka sekund. Droga wewnątrz wiodła łagodnie pod górę.

- Yas... - Vae zwolnił. Wlekliśmy się teraz w ślimaczym tempie. - Nie jesteście tacy, jak przedstawia nas wasza literatura - mówił. - Nie żyjemy setki lat. Nie stajemy się tacy przez ukąszenie czy krew wampira. To wasze bajki. Tacy przychodzimy na świat.

- Zebrało ci się na zwierzenia? - rzuciłam z sarkazmem.

- Możesz mnie po prostu słuchać? Nadal mam cię za rozsądną dziewczynę, nie psuj tego. - Uderzył dłońmi w kierownicę. Samochód zarzuciło na bok, ale szybko wrócił na poprzednią trasę. - Rodzimy się jak wy, ludzie, dorastamy, starzejemy się i umieramy. Mamy... Jesteśmy silniejsi od was. Nie chorujemy. - Zatrzymał się nagle i sięgnął po coś do kieszeni. Spójrz. - Zaświecił małą lampkę nad lusterkiem wstecznym i wyciągnął do mnie rękę, wewnętrzną stroną do góry. - Nasza krew daje nam coś, o czym wy możecie tylko marzyć. - Machnął drugą ręką. To, co w niej trzymał, błysnęło łagodnym refleksem i znikło na powrót w jego kieszeni.

Pisnęłam, widząc krwawiącą ranę na jego przedramieniu. Ciągnęła się przez całą jego długość.

- Patrz, mała.

Gapiałam się z otwartymi ustami na coś, co nie mogło mieć miejsca. Choć nie wyglądało to jak efekt specjalny z filmu, było do niego podobne.

Na moich oczach rana zasklepiła się, zarosła strupem, opuchlizna wokół niej malała z sekundy na sekundę. W niecałą minutę od zranienia strup odpadł, a pozostała po nim blizna zniknęła, blednąc, aż nie pozostał po niej najmniejszy ślad. Tylko resztki krwi świadczyły o tym, co się stało.

- Ja pierdziele... - Nie wiedziałam, co myśleć. To, co czytałam w sieci na temat Drugiej Rasy, ograniczało się jedynie do przypuszczeń i opisu kilku przypadków, gdy ludziom udało się dopaść i zabić jednego z wampirów. Nawet naukowe „dowody” były dla mnie niczym, choć przez chwilę w nie uwierzyłam. Miałam to za wymysły, jak zawsze, a jednak

siedzący obok mnie Vae był tym, kogo ludzie od wieków nazywali „wampirem”.

Ruszyliśmy dalej, powolutku.

- Nie wiem, skąd pochodzimy ani kiedy pojawił się pierwszy taki jak ja. Nikt nie wie. Wydaje się, że byliśmy od zawsze, tak jak wy... a może nie. Może my byliśmy wcześniej? Ale nie zostało nas wielu, ot, ledwie kilkadziesiąt tysięcy, rozsianych po świecie i ukrywających się jak my tutaj. Mężczyzn, Yas, takich, jak ja. - Vae mówił dalej, wracając do tematu. Już nie miałam ochoty mu przerywać ani rzucać głupkowatych uwag. Ale nadal nie rozumiałam, gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla mnie.

- Vae... - Wtrąciłam się, chcąc zapytać o to, co mnie trapiło. O siebie. O mój dalszy los.

- Wiem, boisz się. - Spojrzał mi w oczy. - Nie musisz. Wrócisz do domu, do rodziców. Jeśli nie zrobisz niczego głupiego.

- Czego? - Chciałam wiedzieć. Wspomnienie o tym, że wrócę do rodziny, dało mi nadzieję, że Vae droczy się ze mną w niezrozumiały dla mnie sposób i z obcych mi powodów.

- Potrzebuję... - Znow uderzył dłońmi w kierownicę tak mocno, że zatrzęsała się, trzeszcząc. - Skrzywdzę cię, mała. Bardzo. Ale już nie mam odwrotu. - Bez ostrzeżenia zgasił światła i jechaliśmy dalej w zupełnych ciemnościach. Ale tylko przez chwilę, bo zaraz ujrzałam przed maską szarość, stopniowo coraz jaśniejszą, potem zarys ścian groty, wreszcie szeroki wyjazd i rozległą równinę za nim.

Bałam się. Tym razem nie był to strach przed nieznanym.

Teraz bałam się pierwotnym, prymitywnym lękiem o siebie. Drżałam przed tym, co mnie czeka. Nie miałam pojęcia, czego miałam się bać, a to jeszcze bardziej wzmagало rosnącą we mnie panikę.

„Skrzywdzę cię”. Słowa wciąż brzmiały mi w głowie, za każdym razem groźniejsze.

- Vae...? Co ty mi chcesz zrobić? - spytałam płaczliwie, ściskając spoconymi ze strachu dłońmi siedzenie pod sobą.

Nie odpowiedział. Siedział z zaciętą twarzą, wyjeżdżając w jasność popołudnia. Skręcił w prawo i zatrzymał wóz obok dwóch innych, zaparkowanych pod skalnym nawisem.

Rozejrzałam się wokół. Nie wiedziałam, na co patrzę. Na krater wygasłego wulkanu, nieczynnego od tak dawna, że w jego wnętrzu rozgościł się na dobre las? Na ślad po uderzeniu meteorytu, który dziwnym trafem wytworzył w górskim szczycie idealne dla wyrzutków miejsce do życia?

Skały pięły się w górę, posiekane szczelinami, pełne nawisów. Widziałam... domy przyrosnięte do podnóży skał, wyglądające jak ich część. Próbowałam je liczyć, ale to, co w jednej chwili brałam za „dom”, okazywało się naturalną skałą, a to, co wcześniej wydawało się być stertą gruzu, jawiło się nagle jako dzieło czyichś rąk.

Vae wysiadł. Stał obok samochodu i przeciągnął się, nie patrząc ani razu w moim kierunku. A ja siedziałam w środku, nie mogąc ruszyć się z miejsca, przerażona widokiem wychodzących z ukrycia wampirów.

Mężczyzn, starców, chłopców... Mężczyzn, trzymających na rękach małe dzieci.

Wśród licznej gromady, która zebrała się nieopodal, zauważyłam tylko trzy kobiety. Młode, ładne kobiety, wydające się nie pasować do tego miejsca. Wyglądały na zastraszone, rozglądały się dokoła z obłędem w oczach, trzymane pod ramię przez towarzyszących im potężnych mężczyzn. Dwie były mniej więcej w moim wieku, białe; trzecia, jedyna wśród wszystkich obecnych Azjatka, wpatrywała się dzikim wzrokiem w samochód, trzymając dłonie na pękającym brzuchu. Była w zaawansowanej ciąży.

Wróciłam wzrokiem do tamtych dwóch, czując serce podchodzące mi do gardła: jedna z nich miała zaokrągloną figurę, jeszcze szczupłą, ale jej talia była obfitsza, niż powinna. Trzecia była płaska jak deska.

Przestałam oddychać. Czułam, że serce zatrzymuje mi się na sekundę a potem zaczyna bić, tłukąc się jak oszalałe.

Zrozumiałam. Pojęłam, dlaczego znalazłam się w tym miejscu i jak miałam zostać skrzywdzona. Dotarło do mnie, kiedy wrócę do domu i czego oczekuje ode mnie Vae.

Wysiadłam jak automat i omal nie upadłam, potykając się na leżącym w trawie kamieniu.

Stałam przed wampirem. Nie wiem, czy nienawidziłam go w tej chwili, czy gardziłam nim, czy też stał mi się całkiem obojętny.

Zadarłam głowę, patrząc mu w oczy. Płakałam. Obraz zamazywał się przede mną, nogi mi się trzęsły, a żołądek podchodził do gardła.

- Zabij mnie - poprosiłam cicho.

REDAKCJA: KATARZYNA RAFAŁKO
KOREKTA: BARBARA KASZUBOWSKA
OKŁADKA: WYTWÓRNIA PRZECINKÓW
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

© Vanja Olimpia Z. i Novae Res s.c. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-7942-537-2

NOVAE RES - WYDAWNICTWO INNOWACYJNE
al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

